

POD BLACHĄ.



# POD BLACHĄ.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

*Woffner*

Bo nie cała Warszawa jest  
blachą pokryta.

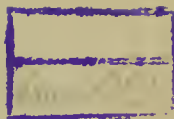
*Osiński.*

TOM II.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1881.



---

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Sp.



## I.

Owczesną społeczność nietylko dawniej stolicy, ale niemal całego kraju, porównać można było do jednej z tych pustynnych ruin starego jakiegoś grodu Egiptu, wśród którego gruzów i piasku szczątki dawnych wspaniałości porozbijane leżą z pieczęcią zgasłej wielkości na sobie.

Wielu z tych ludzi podobnemi byli do obalonych kolumn gmachu wywróconego kataklyzmem dziejowym. Gdziekolwiek widać było nagłówek cudnie rzeźbionej kolumny, sterczące wrota marmurowe, wnijście do nieistniejącej budowy — posąg obłamany sfinxa na pół piaskiem zasypanego, fundamenta gmachu, którego już nie było, nietrzymające się z sobą, napisy bez początku i końca.

Tacy właśnie byli tu ludzie, pozostałość różnych epok, innego organizmu społecznego, szczątki

wywróconego świata, chodzące widma i upiory przeszłości.

Młode pokolenia rosły bez starych tradycyj — i były jako wrota grodów w pustyni stojące same jedne, niewiedząc czem być mają; — niechcąc zostać tem czem być musiały, nie mogąc stać się tem czemby były powinny.

Życie szło, z dnia na dzień nieumiejąc sobie wyrobić form pewnych, więc zapożyczając cudze. Społeczność ta pożyczanym obchodziła się żywotem, pożyczanym z przeszłości, z dala, francuskim, kosmopolitycznym, bo swojego własnego obłamy jój tylko zostały.

Pamiętki saskich czasów, wspomnienia burzliwego panowania ostatniego z królów, spuścizny gorączek i apattij, wszystko miało w tem społeczeństwie reprezentacyą. Jedni nosili żalobę wesołą, drudzy smutną, inni bezwiednie byli żalobą żywą, bo strasznym upadkiem.

Wśród tego cmentarzyska, jak u nas zawsze, siły żywotne domagały się wyrazu, a nie mogąc inaczej objawiały się szalem i weselem.

Szukano rozrywek, aby o bólu zapomnieć, a im ból był większy, tém rozrywka gorętszą być musiała.

Towarzystwo nie samemi tytułami swych członków składało się ze wspomnień, każdy nosił jakąś bliznę lub niezasklepioną ranę. Dla większej części, która zaludniła ówczesną Warszawę, była ona

jakby drogą krzyżową, ze stacjami bolesnemi, przypominającemi im dni ciężko i słodko tu przebyte.

Jenerałowa Grabowska, domniemana czy rzeczywista królewska wdowa, Kicki poufny przyjaciel króla, Krasicki arcybiskup, który go witał mową, w dniu koronacyi, mnóstwo innych — nie należeli właściwie do dni dzisiejszych — wszyscy oni się przeżyli.

Sam książę Józef, młody jeszcze, już miał za sobą całą burzliwą przeszłość od Kaniowa do Targowicy przeciągniętą, cóż dopiero Aristides Małachowski i inni.

Z tych pięknych niegdyś pań ileż wzdychało do niepowrotnych dni, gdy jaśniały szczęśliwe pierwszym rozkwitłym wdziękiem młodości?

Do tych żywiołów dawnych, dodać potrzeba było nowe, obce, które fale rewolucyi francuskiej na ten daleki ląd wyrzuciły, — ludzi z tradycjami wykrzywionemi, z sercami żółcią zalanemi, z dumą upadłych, usiłujących sobą przedstawiać społeczność starą, jakiej już na świecie nie było. Rzeki krwi uniosły ją w przeszłość.

Te podpory legitymizmu, monarchii i religii, znalazły się wśród społeczności polskiej, prądami XVIII w. przenurtowanej, wśród arystokracji i dnczowieństwa lekko encyklopedyzmem zafarbowanych — zaprawdę w dziwnem położeniu.

Cześć dla Woltera jeszcze tu nie przebrzmiała, gdy oni przyszedli jako żywe doktryn jego ofiary.

Rodziła się reakcja przeciwko reformie wprzód pożądaney, ale w młodszych pokoleniach może, bo starsze się już przerobić nie dawały. Dziwne więc anomalje musiało na każdym spotykać się kroku.

Naostatek odrobina niemieckiego świata w otoczeniu Hoyma i Koehlera z tradycjami po Fryderyku II. — które były negacją wszelkich tradycji — także w pewnej małej części do składu społecznego wchodziła. Można ją było porównać do tłuszczu, który po powierzchni się unosił, nie mogąc z płynem połączyć, a nie chcąc się z nim rozstać.

Obyczaj pozostał w znacznej części Stanisławowski, płochość zepsutego dworu, miejskie nawyki lekceważące prawa moralne. Niżej, po wsiach starszylachecka, rubaszna prostota poczciwa mieszkała, na samym wierzchołku nie nad pożyczaną francuszczyznę, która dawała dobry ton, choć go już we Francyi samój nie było.

Horyzont krwawemi zaciągnięty obłokami nie dozwalał nic dojrzeć w oddaleniu, nie osnuwać na jutro. — Żył sobie wesoło z dnia na dzień aby dalej do końca.

Jedni w nic już nie wierzyli, drudzy mieli wiarę w przeznaczenie, podstawy do czynu nie było,

a nowi gospodarze owych Prus południowych wyglądali na załogę mającą jutro lub po jutrze opuścić kwatery. Mała tylko gromadka ludzi poważnych, czujących że zawsze i wszędzie pracować można i trzeba, starać się należy, obowiązki znajdują się gdy się ich szuka, a jedno zwątpienie prowadzi do niepowrotnej zguby — krzątała się by coś poczynić, otrząsnąć z płochego używania chwili obecnej.

W tej grupie na czele stali starzy jak Krasicki, Staszic, Czacki, Chreptowicz, Małachowski, byli i młodszy od nich znacznie ledwie rozpoczynający życie czynne jak Koźmian, Osiński, Woronicz. Może nie wiadomo dobrze dokąd iść i gdzie się zajdzie, ale się usiłowano pomszczać. Arcybiskup Krasicki krzątał się około założenia drukarni u siebie w Łowiczu, posługując się Dmochowskim, który dawniej Kollatajowi chętnie przychodził w pomoc. Czacki sposobił się do życia publicznego, które nań czekało.

Księżciu Józefowi nierozumiejąc go, miano za złe nie tylko lekkomyślne życie jego, ale ton, jaki nadawał towarzystwu, wśród którego tak wybitne zajmował miejsce. Ale mógłże on innym być wobec Hoyma i Koehlera, chcąc się na swym wyczekującym stanowisku pod Blachą utrzymać? Co w innych osobach jego otoczenia było prawdą, u niego było zręczną rachubą i ofiarą.

Dawał na siebie krzyczeć, bo niechciał zdradzić czego żądał i było mu to nawet potrzebném. Im płochszym się ludziom wydawał, im koło niego szalano dziwniej, tém pewniejszym był łaski i spokoju.

Do najwspanialszych kolumn obalonego gmachu, stojących jeszcze na ruinach, należał dom pani kasztelanowej Połanieckiej; — oaza spokojna wśród zawichrzonego, zmaconego młodego świata. Wiele zapewne podobnych jęj znaleźć było można na prowincyach — w Warszawie był to dom jedyny.

Dorównywając mu powagą, ale nie cechami staropolskimi, mógł stanąć obok dom Starościnej krakowskiej, ale tu francuszczyzna mocno się już czuć dawała; gdy u pani Lanckorońskiej wcale jej nie było.

Tu życie płynęło, nie zważając na zmienione do koła obyczaje, wedle trybu prastarego, przykrośnach, nabożeństwie, w bojaźni Bożej. — Staroscina dla świata nie robiła ustępstw żadnych.

Gdzieindziej na płochę obyczaje przymykano oczy, w powszechném zepsuciu znajdując ich usprawiedliwienie; u pani kasztelanowej czarne pozostało czarném, białe było białém, a sąd jęj przez rewerencyą dla imion się nie zmieniał, jak gdzieindziej.

Brzydziła się brzydkiem, choć stało wysoko i znać go nie chciała.

W jęj domu tęż mało kto postał z tych, co się sądu staruszki obawiać mieli powody. Wiedzieli że dla nikogo nie czyniąc wyjątku, powie prawdę gorzką.

Dom pani Starościnej krakowskięj był więcęj pański, kasztelanowej bardziej szlachecki, choć oba do przeszłości należały surowém poszanowaniem cnoty i obyczajaju dawnego. Pani Lanckorońska ani sama nie zrzuciła białego swojego czepca dla modnej jakiejsz fryzury, ani liberyi swej nie przebrała cudzoziemską fozą. Marszałek jej dworu paradował w kontuszu, w salonie po francuzkn mówić nie było wolno, a o tēm co się na zepsutém świecie działo, wołała niewiedzieć. Ci co do rodziny jej i koła należeli, a stykali się ze światem francuzko-polskim, gdy szli do misjonarskiej kamienicy przywdziewali na chwilę pozór inny niż zwykle mieli; układali się aby nie razić staruszki, ani manjerami, ani słowy, ani wspomnieniem o tēm co się działo po za jęj małutkim światem starego pokroju.

JMPan Stanisław Kostka z Burzymowa Burzymowski, niegdyś miał to szczęście być dobrze znanym pani kasztelanowęj, chociaż żona jego, osoba światowa i zcudzoziemczona dobrowolnie, nigdy do towarzystwa jej nie należała. Miał więc nadzieję że i teraz zostanie tu przyjęty i znajdzie u staruszki opiekę i radę.

Nazajutrz rano po dniu strutym rozmaitego

rodzaju małemi przygodami, a najbardziej owym bukietem, szambelan ubrał się wcześniej w swe buty garniturowe, przywdział strój najwykwintniejszy i *more antiquo* naprzód się udał na mszę świętą do najbliższego, naprzeciw kościoła Kapucynów. Powróciwszy do domu na kawę, zastał wschody pełne przekupniów, których pani Wojska pozamawiała dla dostarczenia różnych małych potrzeb toaletowych, bo tysiąca rzeczy brakło, a wieczorem miały być na owém przedstawieniu w tak zwanej *Socjecie* (Théâtre de Société) na które pięknie i modnie wystąpić było potrzeba.

Ten tłum przekupniów popsułby znowu humor szambelanowi, gdyby nadchodzący Grabski go nie naprawił.

Potrzebował się od niego dowiedzieć, o której godzinie i jak się miał stawić w misjonarskiej kamienicy. Micio go nie umiał o tém objaśnić, bo do tego domu wstępu tak dobrze jak nie miał.

Niespokojny Burzymowski uprosiwszy Grabskiego ażeby na niego czekał i zatrzymał się u córki na górze, sam pobiegł do misjonarskiej kamienicy. Godzina była wczesna, ale u Sylwii pani Czeżewskiej od dawna się już drzwi nie zamykały. — Obie panie były nadzwyczaj zajęte zakłopotane.

W przedpokoju Grabski pełno znalazł ichmościów z węzelkami, żydówek, kupeczyków, któ-



rych niespokojna Wojska obawiając się aby czego nie zabrakło do zbytku pościagać kazała.

Po ścisłym rozbiorze przekonano się, że tu Lwowskiego nie nie uchodziło, począwszy od trzewików. Czekał i fryzyer aby ważną odbyć radę co do fryzur pań obu, które się *à la grecque* urządzić miały. Stał szewc z całą pstrą chustą rozmaitych trzewiczków, kupeczyk z próbkami materyi i wstążek; mnóstwo bezimiennych figur na coś tym paniom potrzebnych, a ponasyłanych przez majorowę, która się podjęła zamówień.

Grabski wszedł właśnie do salonu w tej chwili gdy Czeżewska nie ubrana biegła do przedpokoju i krzyknąwszy ukryć się przed nim musiała, co ją jeszcze gorzej dla niego usposobiło, bo nie nie gniewało ją nad to, gdy ktoś wdzięki jej nie uporządkowane jeszcze, zobaczył.

Sylwia natomiast wyszła do niego na wpół ubrana, na rano, i uśmiechnięta powitała go dosyć uprzejmie, choć kuzynek i dla niej w godzinie tak ważnej, gdy się losy toalety roztrząsały, nie bardzo był na rękę.

— Darujesz mi że, zdaje się, nie w porę tu przychodzę — odezwał się witając Grabski, ale szambelan przykazał mi tu czekać na siebie.

— A ojciec gdzież jest? spytała Sylwia.

— Powrócił ze mszy, wypił kawę na prędce i pobiegł się dowiedzieć kiedy może być przyjetym u kasztelanowej Lanckorońskiej.

Posłyszawszy nazwisko, Sylwia się trochę zasępiła.

— Kochany tatko, zawołała ręce załamując rozpaczliwie, chce bo mnie koniecznie zapakować do tego klasztoru! Niby to ja niewiem co to za dom! to śmiertelne nudy! Ale my tu przyjechałyśmy na zapusty, nie na rekolekcyje! Grabski ruszył ramionami.

— Kochana kuzynko, — rzekł, niemasz się podobno czego obawiać, bo zawsze z tatkiem w końcu zrobisz co ci się podoba!

Trochę się tém obraziła piękna panna i spojrziała groźnie.

— Pan Mieczysław ma pasyą robić mi wymówki i karmić mnie moralami! — odezwiała się zagniewana a smutna.

— Niestety — odparł pokornie Grabski. Mamże jak inni pochlebiać, chwalić, unosić się nad wszystkiem, gdy mi kuzynki żal i strach o nią!

— Strach? o mnie? Cóż to za strach być może? — zawołała Sylwia z coraz dobitniejszą urazą. Jestem że ja takiem nieroztropném dzieckiem, co niema ani rozwagi ani pomiarkowania?

— Wszystko — kochana kuzynko masz, co w swych szczęśliwych latach mieć można, będąc wychowaną na wsi i nieznając świata! Przepraszam!

Jesteś zachwycająca, ale tej ślizgawki na którą się puszczasz tak śmiało, niemasz najmniejszego

wyobrażenia,—rzekł Grabski odważnie. Na lodzie tym są rysy, łatwo się na nim załamać i utopić, a upaść można przy pierwszym kroku!

— Wiele pan masz lat? — zapytała z oburzeniem Sylwja.

— Blisko trzydziestu — odpowiedział Micio spokojnie.

— Tylko? proszę!! Z mowy można było sądzić że najmniej pięćdziesiąt. Pan nigdy nie byłeś młodym i dlatego ani rozumiesz młodości, ani być drugim młodem dozwalaś.

Zarumieniła się piękna Sylwja, Grabski cofnął się o krok. — Spokojna twarz jego nabrała wyrazu smutnego. — Nie odpowiedział nic.

W tej chwili Czeżewska, zła, zburzona przez drzwi pół otwarte zawołała na Sylwią, która do niej wyszła. Mieczysław usiadł zrezygnowany.

Wybiegając z salki spojrzała nań jeszcze zagniewana kuzynka, i zobaczywszy go takim zbolalym, pożałowała go, zawstydzila się swej przedkości i mimowolnie wychodząc, rzuciła mu —

— Zaraz powracam! Proszę na mnie czekać. Rozmowa nasza nie skończona.

Grabski głową tylko dał znak że będzie posłusznym.

Oczyrna wodząc po pokojn, na kominie około zegara zobaczył w wazonie porcelanowym bukiet wczorajszy, i — co gorzej! w drugim odpowiednim mu, stał jego brat rodzony, również ładny

a świeższy, drugi, który prawdopodobnie musiał tu już przybyć zrana i — mimo zakazu, został przyjęty. Zachmurzył się Grabski bardziej jeszcze i westchnął.

Od dawna zrezygnowany był na to, że śliczne dziewczę, w którym się kochał tak mocno, za stracone dla siebie uważać musiał, żał mu je było jednak widzieć lecące tak na oślep w nieznane strefy, których on znał niebezpieczeństwa, a ona tylko widziała ponęty.

Dosyć prędko Sylwia z gałgankiem jakimś w rękę powróciła i stanęła przed nim.

— Gniewasz się na mnie? — zapytała.

— Gdybym nawet chciał, piękna knzynko pogniwać się na ciebie — niemógłbym! Przechodzi to siły moje.

Nie gniewam się ale — boleję.

— Nad czém? nad tém że ja się chcę bawić? widzieć? słyszeć? uczyć? — zawołała Sylwia,

— Nad tém że tak nieostrożnie, z zapalem lecisz nieznając drogi, na której zbłąkać się i skaleczyć łatwo — rzekł Micio powolnie.

— Dlaczegoż ja mam się tam koniecznie skaleczyć? — żywo przerwała Sylwia. — Wszyscy wy macie mnie za jakieś nieroztropne dziecię, potrzebujące niańki jeszcze!

— Milczę — rzekł Grabski.

— Ale ja bo niechcę żebyś milczał, odparła Sylwia, owszem, proszę mówić otwarcie, proszę

się klócić ze mną. Za milczenie będę się gniewała, boby ono znaczyło że ja niegodną jestem zrozumieć mądrego pana Mieczysława, i nie warta, aby się dla mnie fatygował z przekonywaniem.

Grabski popatrzał długo na nią.

— Twoja śmiałość, kuzynko, dowodzi już że świata nie znasz, ku któremu się tak wyrywasz z zapalem i pragnieniem zajaśnienia na nim. Każesz mi mówić otwarcie, będę posłusznym.

Panna Sylwia jest młodziechną, piękną i uroczą, bardzo łatwo jej będzie liczne wielbicieli grono ściągnąć do siebie. Przypniemy że jeden z nich szczęśliwy serce jej pozyszcze. — Sądzisz, szanowna kuzynko, że tu ktokolwiek na seryo bierze zalecanki z galanterią, — i o serca pozyskanie się stara? Zdobyć je zapragnie każdy, ale ocenić nie potrafi nikt. Dziś nosić cię będą na rękach i cześć a głosić królową, jutro nowa piękność i gwiazda świeża zjawiająca się na horyzoncie, odciągnie ich od ciebie.

Sylwia potrząsnęła główką, nie widząc na niej było wielkiego tych wyrazów wrażenia.

— Kto panu Mieczysławowi mówił że moje serce tak jest łatwém do zdobycia?

Grabski zmilczał, — przeszedł się po pokoju, stanął u komina, i patrząc na bukiety, — odezwał się zmieniając rozmowę.

— A więc bukietów już dwa? — do pary?—

Przyznać muszę że im tu bardzo ładnie na tym kominie.

Sylwia się zarumieniła.

— Gdybym śmiała przypnścić że taki trzpiot jak ja może się podobać takiemu jak pan sensatowi, doprawdy gotowabym myśleć żeś zazdrośny — rzekła.

— Ja się z tém wcale nie taję, — odparł z rezygnacją Grabski, i że mam zawrócić głowę, i że jestem zazdrośny. Proszę mnie tylko dobrze zrozumieć kochana kuzynko. — Kocham się bez najmniejszej nadziei, a pragnąłbym twojego szczęścia nie dla siebie ale dla ciebie. Gdybym dziś widział człowieka godnego twój ręki, mogącego ci zapewnić przyszłość, jakiej ci życzę, spokojną, cichą, szczęśliwą, byłbym mu pewnie raczej pomocą niż przeszkodą. Widzieć zaś cię narażoną na igraszkę płochych ludzi — boleć mnie musi.

Gdy poważnie wymawiał te słowa, Sylwia słuchając przypatrywała mu się z uwagą.

Czy jej uderzyło serce, czy oceniła ofiarę, czy się poruszyła uczuciem wdzięczności za uczucie, które w głosie jego brzmiało — któż wie? — dosyć że odpowiedziała mu krótko, z pewnem wzruszeniem, szybko, jakby mimowolnie.

— Dziękuję.

Jakby dla przerwania tej rozmowy przykrej dla obojga, wpadł właśnie szambelan zdyszany i cały sobą zajęty.

— Patrzajcież! — zawołał! — Kasztelanowa przyjmuje dopiero około południa, dowiedziałem się o tём w kamienicy.

Wiesz co! — zwrócił się do Micia — wypada mi koniecznie być u Pokutyńskiego — jedź ze mną, raźniej mi będzie.

To mówiąc spójrział na córkę.

— Cóż będzie z tą nieszczęsną Societą, czy jak się ona tam nazywa? — Macie być na niej? z kim? jak? Czy to widowisko płatne, za biletami, czy prozione? kto prosi?

— I prozione i płatne, — odparł Grabski. — Uprzywilejowani dostają zaproszenia, osoby nie należące do towarzystwa kupują bilety..

— My je już mamy! — Rano jeszcze przysłała nam majorowa, — odezwała się Sylwia.

Grabski pochmurniał na wspomnienie tej pani.

— Wolałbym być, — rzekł — bilety kupne, bo takie do niczego nie obowiązują; ale wzgardzić zaproszeniem, byłoby obrazić tych co je tak uprzejmie przesłać raczyli. — Cóż robić! — westchnął. — Szambelan zacmokał i potarł się w głowę.

— Wysoce poważam ją, szacuję, adoruję, wdzięczem jestem pani Wojskiej, — rzekł, ale ona z tą swoją majorową, wściubską, co się moją przyjaciółką nazywa, kością mi już w gardle stoi. — Robią mi takie przysługi, że chce się kuksnąć za nie!

Sylwia zbliżyła się, pocałowała ojca i stary się zaraz udobruchał.

— Cóż robić! — mruknął. Stało się! to trudno! niech będzie i tak, na przyszłość trzeba radzić inaczej.

Córka uśmiechnęła się wesoło ale trochę szydersko.

— Miciu kochany — zawołał ruszając się żywo stary — jedziemy! jedziemy!

Wyszli tedy razem. Pokutyński stał na Krakowskiem przedmieściu, wzięto powóz, aby paradnych butów nie narażać na błoto.

Mieszkanie szambelana kawalerskie, na pierwszym piętrze, urządzone było z pewną elegancją i staraniem o nią, ale za młodo, za świeżo na poważnego już człowieka. — Coś w niem przypominało starą kokietkę, otaczającą się jaskrawemi barwami i błyszczącemi cackami, przy których zwiędnięcie jęj wyraźniejszém się staje.

W saloniku znajdował się właśnie Kalinowski i dwóch z tych panów, których Burzymowski poznał w Jablouněj.

Wszyscy powitali przybywającego nader wesoło i hucznie, gospodarz zrobił mu miejsce na kanapie, — na Grabskiego spoglądano z ukosa.

Znany był im ten młodzieniec, który do koła ich nie należał i od wesołych towarzystw stronił, widocznie za złe mu to miano. Siadł też pan



Mieczysław na uboczu i zachował się milcząco. Przedmiotem rozmowy tego ranka była awantura wczorajsza. Bogatemu kupcowi z Długiej ulicy, niemieckiego pochodzenia, ale od dawna osiadłemu w Warszawie, córkę wykradziono.

Panna była bardzo piękna, dobrze wychowana i godna lepszego losu; ojciec w rozpaczę biegał jak obłąkany.

Domyślali się wszyscy kto był sprawcą, bo oddawna już romans trwał, przed ojcem tylko tajony.

— O! to sprawa Piotrusia! — mówił, okiem mrugając Kalinowski. — Niema go dziś nigdzie, drapnął z panienką do Wrocławia! — Ale coś znowu tak strasznego, żeby tyle z małej rzeczy robić hałasu. — Że się z nią nie ożeni, to niema wątpliwości, ale łatwo znajdzie kupczyka, który na tę małą eskapadkę sentymentalną zważać nie będzie!!

Śmieli się wszyscy, Burzymowski jeden mocno się zachmurzył.

— Ojciec się, słyszę, — dodał drugi, udał pod opiekę praw pruskich, ale już ciż szlachcicowi za taką tam jakąś kupcównę, że sobie z nią poromansował, głowy nie zetną.

— No, wiesz — przerwał Pokutyński, — jabym za tych bestyów Prusaków nie ręczył. Hoym mi powiadał że u nich prawa dla wszystkich jene-

ralnie są równe i jednakowe. Szlachciec nie szlachciec za gwałt i uprowadzenie małoletniój.

— Jakto małoletniój? — zawołał Kalinowski — Piękna mi małoletnia, która tak już umiała dobrze z Piotrusiem oczkować i po dobrej woli z nim poszła!

Wszczał się spór długi o możliwe następstwa wykradzenia, w którym Burzymowski i Grabski żadnego nie brali udziału. Gdy się to przeciągać zaczynało, Pokutyński dyskretnie spojrzał na zegarek.

— Wiecie panowie co? — rzekł — *hora canonica* się zbliża, proponuję o trzy kroki ztąd na znane mi ostrzygi i białe winko.

— Przewybornie — przerwał Burzymowski, rad że rozmowie koniec położy — ja akceptuję, ale z tym warunkiem, że mi panowie uczynicie honor być gośćmi mojemu..

Byłem u was na śniadaniu, rewanż mi się należy.

— Zgoda! — zawołał Pokutyński — chodźmy za szambelanem.

Ja lokal pokażę.

W progu już Grabski coś na ucho szepnąwszy szambelanowi, uklonił się, pożegnał i zniknął.

— A to — ten pan! jakże się zowie? — odezwał się po odejściu jego Kalinowski do Burzymowskiego — krewny czy pupil waćpana?

— Krewny, daleki — odparł szambelan.

— Jako weredyk, mimo waszego pokrewieństwa, powiem ci Szambelanie, podchwycił Kalinowski — to może być bardzo zacny młodzieniec, ale pedant, zaschły, nudziarz jakich mało!

— Dobry chłopiec! mruknął Burzymowski.

Rozśmiano się, a wtém weszli do izdebki na tyle winiarni, kędy świeżuteńkie tylko co z poczty, ostrygi być miały. Istna to była dziura, ciemna i brudna, odrażająca niemal i cuchnąca jakimiś nieczystościami kuchennemi, ale była w modzie, bo znawca znakomity, Pokutyński zaręczał, że nigdzie lepszych i świeższych jak tu ostryg nie było. Codzień je extra-pocztą i kurjerami umyślnie przywożono, beczułkami szły z tąd pod Blachę, na Górę, do Skierniewic. Wino też szampańskie i burgund biały miały być nadzwyczajnych przymiotów.

Burzymowski, który sobie na buty żałował, gdy miał gości posuwał swą gościnność do rozrzutności. — Zastaw się a postaw się, — mówił po staremu. Poszedł więc sam zadysponować co należało, i uprosił gospodarza, aby ostrygi i wszystko, co z niemi szło, było — co się zowie, *ut sic* — choćby tam licho wie, co kosztować miało. Zielona siatkowa sakwa naładowana dukatami nigdy go nie opuszczała, a oprócz tego miał trzos ciężki, którym chodził opasany i nie zdejmował go z siebie nigdy, tylko nocą pod poduszkę, będąc

w wielkiej obawie od warszawskich rzeziniestków.

Przyniesiono ostryg takie masy, iż Szambelan myślał zrazu, że się w liczbie osób omylono, ale miał do czynienia z temi, co je pożerali kopami, i przekonał się wkrótce naocznie, że zanadto ich nie było. Znikały polykane tak szybko, iż wkrótce blaty się poopróżniały.

Z butelkami też młodzież obchodziła się ze zdumiewającą zwinnością, sama się zachęcając, nalewając i rozlewając bez ceremonij. Humory nastroiły się wkrótce do nadzwyczaj wysokiego tonu.

Burzymowski siebie tylko oszczędzając, także dolewał a dolewał, ichmość się prosić nie dawali.

Zapóźno postrzegł się, iż śniadańko zbyt długo się przeciągnąć musi, a odwiedziny dzisiejsze u Kasztelanowej przepadną. Nie wypadało mu ani się gości pozbywać, ani przyznawać do tego, co go trapiło. Pokutyński go uratował gdy około południa na zegarek spojrzawszy, zaintonował do odwrotu.

A że już i butelki były próżne i głowy pełne, rozeszli się jakoś wszyscy, wyściskawszy łaskawego amfitrjona i Burzymowski wpuścił rękę w kieszeń głęboką po ową zieloną sakiewkę. Rachował zawczasu, że kilkanaście dusiów pęknąć musi, nie przewidywał jednak, ażeby za skromne śniadańko, złożone z ostryg, séra, szampana i ma-

lenkich różnych dodatków, dwadzieścia i kilka obrączkowych dać było potrzeba.

Zawołał w pierwszój chwili:

— Ależ! Bój się Boga!

I chciał się targować, gdy gospodarz mu z zimną krwią oświadczył, że u niego targu nie ma, i że wszyscy jego laskawi kljenci tak płacą, o czém łatwo się może przekonać, pokazując rachunek Pokutyńskiego. Rad nie rad, mrucząc pod nosem przeciw zdzierstwu, zapłacił Burzymowski, tém w gorszém będąc humorze, że do kasztelanowój było już za późno prawie.

Przeklął obrzydłe ostrygi na progu i nie patrząc na godzinę, bo niedawno widział coś na kształt dwunastój, wziął powóz i poleciał w skok do missyonarskiej kamienicy.

Służba siedziała w sieni. Marszałek w kontuszu wyszedł naprzeciw i pokłoniwszy się, drzwi mu otworzył sądząc zapewne, że był gościem na obiad zaproszonym przez Kasztelanową, gdyż godzina pierwsza, o którój tu zwykle jadano, już się zbliżała.

W salce bardzo skromnie umeblowanój, w którój naprzód uderzały krośna staruszki i koszyki z jój piaskami, znalazł Burzymowski, oprócz sędziwój gospodyni i trzech panienek jój krewnych, towarzystwo dosyć liczne.

Podszedłszy do staruszki, Szambelan z wielką czcią submitował się jój przypominając, w dosyć

zgrabnym, staropolskim i zawczasu ułożonym komplementem, wyraziwszy jak jest szczęśliwy, że przybywając do Warszawy oglądać ją może w czerstwém zdrowiu itd. Dodał, iż ma sobie za najprzedziwniejszą rozkosz, zaszczyt iż u nóg pani kasztelanowej weneracją swą złożyć mu wolno.

Przypomniała sobie kasztelanowa dawnego znajomego, podziękowała mu w kilku słowach zaledwie, gdy w téjże chwili otwarły się drzwi do jadalni i marszałek głosem woźnego trybunańskiego dawnych czasów oznajmił, iż do stołu dano!

Burzymowski stanął skonfundowany, wyglądało to, jakby się na obiad gwałtem wcisnął, zaczął więc przeproszać, tłumacząc nieświadomością godziny, wieśniaczym obyczajem itp., gdy pani Lanekorońska przerwała mu z uśmiechem.

— Uczyń że mi asindziej tę przyjemność i przyjmij u mnie łyżkę rosółu. Bardzo go proszę!

Co tu było robić!

Burzymowski musiał pozostać, lecz w duchu znowu przeklętym ostrygom złorzeczył.

Dopiero teraz ochłonawszy, miał czas się obejrzeć po dostojném towarzystwie i postrzegł na przód pięknej twarzy, otyłego, niemłodego ale wyglądającego świeżo mężczyznę, którego purpury i fiolety oznajmywały, że nikim innym być nie mógł, tylko JMKsięciem arcybiskupem Krasieckim. Oprócz niego duchownych było kilku

i świeckich drugie tyle, ale ci już mniej uwagę na siebie zwracali.

Sławne imię niegdy księcia biskupa Warmińskiego, autora ksiąg tyłu, które cała Polska czytała, wielką dłań weneracją przejęło szambelana.

Kazano mu podać rękę jednej z panien Świdzińskich i tak pociągnięto go do stołu.

Miejsce mu się też bardzo szczęśliwie dostało niedaleko ks. arcybiskupa, który w poufałym a wesołym tonie począł z przybyłym rozmowę.

Ani się mogli nigdy takiego szczęścia spodziewać Burzymowski, ażeby sam ksiązę arcybiskup go zagadnął; tém mnićj, ażeby rozmowę zagaił tak naturalnym a wesołym tonem, jakby był prostym śmiertelnikiem i niczém więcej nad dobrego szlachcica.

Wystawiał w nim sobie autora podstołego, surowego, namaszczonego moralistę, a znalazł człowieka wyśmienitego tonu, wesołego, który o swém dostojenstwie rad był zapomnieć na chwilę, starając się być jak najnaturalniejszym, okazać jak najprzystępniejszym.

— Z którejże to części dawniej naszej Rzeczypospolitej, acan dobrodziej przybywasz? — odezwał się ks. arcybiskup, bo my teraz choć całości pozbawieni, części mamy dużo.

— Z zakordonu cesarskiego, — odpowiedział uszczęśliwiony szambelan.

— Zatem z kraju, z którego ja rodem i gdzie

całą moją mam rodzinę — rzekł ks. arcybiskup, Wątpię jednak, abyś acan dobrodziej znał moje rodzinne gniazdo, Dubiecko, gdzie brata mam.

— Nie — w innych mieszkam stronach, domatorem jestem i wycieczek mało czynię — odparł Burzymowski. — Gospodarstwo, kłopotarstwo!

— A ja na starość, — odezwał się wesoło arcybiskup — muszę peregrynacje odbywać. To na śluby, to na chrzciny, moich synowców i synowic. Proszę sobie wystawić, z Berlina, gdzie przebywam często, drogę do Dubiecka, a dawniej z Hejlsbergu do Lwowa!!

— Czyś W. Ks. Mość już w Lowickiej swęj i Skierniewickiej rezydencyi — przerwała gospodyni — zapomniał trochę o ulubionym swym Hejlsbergu i cudnych jego ogrodach?

— Sadzę już na pociechę nowe w Skierniewicach, — odparł arcybiskup wesoło — chociaż owoców z nich nie ja się już doczekam! Przynajmniej tu tę pamięć zostawię po sobie, że dobre jabłka, gruszki i śliwki mieć państwo będziecie, bo o to pilno się staram tak tu jak w Hejlsbergu. Kwiatami i exotycznymi roślinami jedna tylko księżna z Nieborowa piękniejszemi niż moje pochlubić się może. Wkrótce i Skierniewice zakwitną, ale to nie będzie Hejlsberg mój kochany! — westchnął arcybiskup.

— Z wielu względów, — wtrącił Dmochowski, słusznego wzrostu, wyrazistej twarzy mężczyzna,



który razem z kanonikiem Kalnaszym arcybiskn-  
powi towarzyszył — z wielu względów Hejlsberg  
przechodził Skierniewice, nie ogrodem samym,  
bo i wspaniale a smakownie urządzonym pałacem,  
biblioteką, galeryą — i wszystkimi skarbami  
w jakie obfitował.

— Lecz, dobrze to pan Bóg wszystko zrzą-  
dził — przerwał arcybisknp. — Tam już niemal  
nie było co robić, tylko się co roku kaskady  
mnożyło i klomby przecinało, a tu wiele mam do  
roboty i nowe zajęcie.

— Bylebyś W. ks. Mość, — odezwała się pani  
kasztelanowa. — dla tych kwiatków i cebulek,  
które tak lubisz, o złotém swém piórze nie za-  
pomniał, bo to byłoby z wielką szkodą naszą  
i potomności.

— A! pani kasztelanowo dobrodziejko, — od-  
parł zawsze wesolym tonem Krasicki, — pióro  
moje niewiele już warte. Nigdy ono złotém nie  
było, dziś lękam się, aby ołowianém się nie stało.  
Ludzie moich lat mogą już powiedzieć sobie —  
*Fuimus!*

— Mości książę, — odezwał się posepny, błady,  
dziwnej i oryginalnej twarzy ks. Staszcie, cały  
jakby zamknięty w sobie i dotąd milczący, —  
dziś my wszyscy ile nas tu jest o sobie to po-  
wtórzyć możemy: *Fuimus*. Przeszłość wszędzie —  
przyszłości nigdzie.

— Daruj mi, czeigodny panie, — podchwycił

arcybiskup, — jest zawsze przyszłość w niewyczerpanej Opatrzności Bożej, tylko my jej nie daleko sięgającemi oczyma dopatrzeć się nie umiemy. Uczą nas dzieje, że wszystko co rosło, co trwało, starzeje, ginie i odmładza się ciągle. Zatem i my o naszych losach, lubo zmienionych, wątpić nie powinniśmy.

*Spera, ora et labora!*

— Święte słowa!.. — szepnął Dmochowski.

— I jam ci też, — rzekł patrząc na talerz Staszic, — nie zwątpił o ludziach, ani o sukmanach, tylko, *sit venia verbo*, o koutuszach!

Burzymowski drgnął, choć dobrze nie zrozumiał; inui się uśmiechnęli, gospodyni dodała.

— A ja, ani o nich nawet!

Po chwilee milczenia ks. arcybiskup jakby się ulitował nad szambelanem, iż wśród nieznanym osób trochę się osamotniouy czuć musiał, zwrócił się znowu ku niemu.

— Cóż to tu pana szambelana z za kordonu do nas przypędzilo? — zapytał.

— Przyznać się wstyd.. Mięsopust, M. książę, odpowiedział Burzymowski. — Nie dla siebie, boby mi o nim nie wczas myśleć było, ale, pan Bóg mnie obdarzył córką dorosłą, która zapragnęła zobaczyć dawną stolicę. Nasłuchiwała się o niej odemnie. Człek słaby a dziecko jedyne.

Pani Lanckorońska popatrzała nań bacznie.

— A! to mi acana dobrodzieja szczerze żal, —

odezwiała się, — niepokoju z młodą panienką dużo mieć będziesz.

— Ale panienska dobre miała przeczucie, — wtrącił ks. arcybiskup, — Warszawa jest w istocie wesołą bardzo, gdyby tylko nie nadto. Za panowania Fryderyka II., który wielce łaskaw był na mnie, jak i za teraźniejszego króla naszego, zdarzało mi się nie jeden raz, *non tam volenter, quam reverenter*, spędzać karnawały w Berlinie. Szczerze powiadam, że Warszawa więcéj od stolicy Prus jest ożywiouą.

— Byle téż i cnotliwszą była, — dorzuciła pani Lanekorońska.

— Daj Boże! — szepnął książę, — a no pono *ambo meliores*. Ale gdzież są miasta wielkie, zbiegowiska ludzi wzorami cnoty? Trzeba się więcéj do natury zbliżyć, aby jéj gniazdo odszukać! Na wsi tylko życie zdrowe... Miał słuszność sławiąc ją Bernard święty.

— Tak, tak! — odezwał się ks. Staszic jakby przebudzony, — to prawda, czy ją św. Beruard wygłosił czy nie... Każdego narodu siła spoczywa w ludzie, ale i miasta mają swą użyteczność, jest to *malum necessarium*.

— Zapewne, gdybyśmy miasta własne mieli, — wtrącił Dmochowski, — ale my mamy je tylko zasiedlone z dawien dawna cudzoziemcami i różnemi przybłędami. Obey ten żywioł na swojski niełatwo się przerabia.

— Myśmy bo na mieszczan tak dalece nie stworzeni, — odezwał się Staszic, — że u nas i miasta miały rolniczy charakter. Co w nich było polskiego, to orało i siało, choć razem szyło buty i krajało sukmany, bośmy narodem od prastarych wieków rolniczym *per excellentiam*. Niemcy się od nas gospodarstwa nauczyli, pług razem z jego nazwiskiem pożyczyli od nas, choć dziś my już do nich za to na naukę rolnictwa iść-byśmy powinni.

— Niemiec ma to do siebie, — odezwał się arcybiskup, — że z naszego lnu tka płótno, które my kupujemy, z naszej wełny robi dla nas sukno, a gotów tak samo i z naszej myśli książkę nam utkać.

Roześmiał się aplaudując Burzymowski wielce rad mądrój rozmowie, którój się przysłuchiwał z atencją nadzwyczajną i ustami otwartemi, jakby ją chciał polknąć.

Panienki chichotały i szeptały, ożywione bardzo pocichu mieniając słówka. Spojrzał ku nim ks. arcybiskup i coś o tém pani Lanckorońskiej powiedzieć musiał, bo mu odrzekła półgłosem.

— Panny moje zajęte są tak mocno teatrem dzisiejszym, to dla nich wielka satysfakcya, a ja jęj pozbawiać ich nie mam serca, choć... choć!..

Spuściła oczy nie domawiając staruszka, na twarzy jęj malował się jakiś frasunek.

— Tak zwana Societa i nasi francuzi bawia

się tym teatrem wyśmienie, — odezwał się Dmochowski. — Mybyśmy też nie przeciw temu nie mieli, gdyby biedny nasz Bogusławski na tém nie cierpiał, bo u niego za to pustki straszne.

— Sąć przecie ludzie co i do niego chodzą! — wtrąciła gospodyni.

— Przez miłosierdzie, — odpowiedział Dmochowski, — a smutna to rzecz być politowania przedmiotem. Teatr nasz już nie w modzie, bo francuzi bardzo modni!

— Zacheiależ asindziej! — rzekła gospodyni, modzie się tój wybacza, która ma litość w sobie. Wygnańcami są ci franenzi, nieszczęśliwi, bez ojczyzny, a gorzej może jeszcze niż bez niej, bo ją im popsuto. Choćby wrócili już się w domu nie poznają, a z gruzów odbudowywać nigdy stare nie wstanie!

— A ja mam dobrą w Bogu nadzieję, — rzekł areybiskup, — naprawi się to co popsulo. Idzie i we Francyi ku lepszemu, wróci dynastya i dawne prawa... tak, tak! nfajmy w to...

Dmochowski głową jakoś niedowierzająco potrząsł, Stasie zmilczał.

— Tymczasem, — przemówił ostrych rysów twarzy nieznany mężczyzna już podżyły, który w końcu stołu siedział i milczał dotąd, — tymczasem francuzi nas zalewają. Warszawa się tak francuską stała, iżby ją za paryzkie przedmieście

wziąć można. Nie wszyscy też goście nasi pamiętać chcą, że gospodarzami nie są.

— Niestety przebacza się wiele, — dodała gospodyni.

W tém podano wety, bo rozmowa kilkakroć przerywana przez cały skromny polski obiad się toczyła. Przysnnięto zimowe owoce do arcybiskupa, który był ich szczególnym znawcą i miłośnikiem.

— Ja o tej porze w Heilsbergu, — rzekł arcybiskup, — już poziomki miewałem!

I westchnął.

— W Skierniewicach się dopiero przysposabiam kn temu!

— O! słyszeliśmy wiele o sławnych zimowych ogrodach dawniej rezydencji W. ks. Mości, — rzekła gospodyni.

— Wstydby mi było tego miłośnictwa, które na sybarytyzm zakrawało, — rzekł Krasiecki, — gdyby ono nie miało swęj dobręj strony i nie wyszło na korzyść okolicy. Gdym dawną moją rezydencję epuszczał, już i włościańskie ogródki aż do Frauenburga w dobre owoce obfitowały, a ananasowe poziomki chłopci na wsi zjadali i sprzedawali.

Rozmowa stała się powszechniejszą, gdyż ten i ów słowem się do niej wniósł. Burzymowski nie śmiejąc się wtrącać, słuchał bardzo pilnie, napawał się nią. Miarkował już, że oprócz przyjemności towarzystwa i przypomnienia się gospo-

dyni, więcćj ze spóźnionych odwiedzin tych ko-  
rzyści mieć nie będzie, gdyż zaraz po obiedzie,  
zostawując czas do wytehnienia gospodyni, usu-  
nąć się wypadało.

Musiał się więc wyrzec rozmowy poufnój na  
osobności, o którą mu chodziło, odkładając ją  
do dnia innego. Okoliczności dłań składały się  
jakoś niefortunnie, losy się nań spiknęły, aby nie  
po swój myśli uczynić nie mógł.

Wstawszy od stołu przeszli wszyscy do salki,  
w którą kawę czarną podano. Burzymowski wsu-  
nął się między mniej znanych sobie gości ku  
drzwiom, aby się do wyjścia przysposobić. Jakoż  
wkrótce goście wszyscy poruszać się, żegnać  
i wysuwać poczęli. Jemu też nie nad to nie po-  
zostawało, i przy ucałowaniu ręki pani Laneko-  
rońskiej, uprosiwszy tylko o pozwolenie złożenia  
jój uszanowania wraz z córką, szambelan wym-  
knął się z missyonarskiej kamienicy, pospieszając  
do domu, gdzie mogli go z obiadem czekać, bo  
nie spodziewał się jeść go gdzieindziej.

Tak było w istocie, a pani wojska dała mu  
do zrozumienia, jak wiele zawinił, zawiechrzając  
cały porządek dnia, w którym jeszcze tak nie-  
zmiernie wiele było do czynienia.

Przed wieczorem przecie musiano piętrowe  
zbudować fryzury, poopinać suknie, i tyle razy  
z tyłu i z przodu przypatrywać się sobie w zwier-  
ciedle, azali szpilki gdzie lub fontazia nie brakło.

## II.

Teatr *de Société* nrządzonym był w jednej z sal Radziwiłłowskiego pałacu, a że w owych czasach mniej daleko wymagającą była publiczność, nie odznaczał się wcale ani wspaniałością, ani wykuintnością zbytnią.

Owczesnych dekoracyi najlichszy teatrzyk na prowincyi dziśby się powstydział.

Miejsca też dla widzów wygodami wyszukaniem nie grzeszyły. Proste krzeselka dosyć gęsto ustawione zajmowały salę, rozdzieloną tylko na dwie części jak świat, który tu uczęszczał. Jedna była dla śmietanki towarzystwa, dla zaproszonych gości, druga dla szarego mleka, dla z łaski za pieniądze wpuszczonej publiki.

Tu już zawczasu zajmowały miejsca postacie do najrozmaitszych warstw społeczeństwa nale-



żące, nawet tacy pewnie, którzy znajomością języka francuskiego pochlubić się nie mogli.

Główna za to część sali, przeznaczona dla zaproszonych, niezmierną prostotą urządzenia swego, w sprzeczności była bijacęj z osobami, które ją napępniać zaczynały.

Świat wielki w całym swym splendorze, piękności jego, elegancya, wytworność, stroje najwykwintniejsze cisnęły się tu i zajmowały szczupłe miejsca dla nich przeznaczone.

Francuskie nowe ubiory, głowy męskie *a la Titus* poostrzygane, gdzieniegdzie dawniejsze peruki i włosy z tyłu pozwiązywane, kobiece greckie fryzury najrozmaitszych kształtów, suknie jedwabne, klejnoty, koronki, kryzy, aksamity — jakby mozaiką żywą zaczynały wypełniać parter sali.

Nadewszystko błyszczało tu mnóstwo piękności, twarzyczek młodych, odmłodzonych, chcących być młodemi, już pięknych i pięknych jeszcze.

Wdzięk nie był nawet wyłączną cechą arystokratycznój części sali. Wśród płatnych miejsc, do których napływali mieszczanie, kupcy, drobna szlachta, a może nawet starsza służba możnych panów, dawały się dostrzegać lica, które z najdostojniejszymi o palmę piękności walczyć mogły.

Niejedna tu twarzyczka miała i arystokraty-

czną dystynkcyę, i strój, którego by się tytułowane pierwsze rzędy nie powstydzily. Z pokolenia które schodziło mało już było reprezentantów, świat młody po większej części lub mogący się liczyć do niego.

Z typów fizyognomij łatwo tu było wyróżnić francuzów w wielkiej liczbie, których większość miała owo piętno gallijskiego pochodzenia, jakiego wieki zetrzeć nie potrafiły. Na emigracyi téj wcale znać nie było jój położenia, ani w wyrazie dumnych twarzy, ani w strojach wyszukanych i modnych.

Wszystko to zdawało się krajowcom wskazywać, poczuwać się do jakiejś wyższej roli i bardziej do zdobywców niż do wędrowców bezdomnych było podobne.

Cisnęli się do nich ciekawi i z upragnieniem słuchali jak wyroczni.

Cała francuska kolonia zajmowała pierwsze rzędy, łączyła się z najwykwintniejszym towarzystwem i zdawała mieć poczucie, że mu zaszczyt czyni poufale się z niem obchodząc.

Z większego świata kto tylko nie grał dnia tego w zapowiedzianej komedyi Dora'ta, znajdować się musiał w szrankach widzów. Było w modzie koniecznie pokazać się na Sociecie; gra artystów obudzała najżywsze zajęcie.

W sali ścisk się coraz powiększał, a że zaproszonych osób nie liczono i z płatnami biletami

się nie rachowano, przewidywać było można, iż wkrótce wszyscy się dusić będą.

Grabski, który unikał nazbyt ścisłych stosunków ze światem eleganckim i o zaproszenie dla siebie się nie starał, kupił sobie bilet zawczasu i znalazł się wszedłszy wśród bardzo różnorodnego tłumu, w którym rozpoznawał i w ulicach i po sklepach i na świecie gdzieś widywane twarze. Nie mógł on towarzyszyć kuzynce, gdyż liczba osób na bilecie zapraszającym była ograniczoną do trzech.

Majorowa podjęła się te panie i szambelana z nimi wprowadzić do krzeseł w pierwszych rzędach.

Mieczysław umieścił się tak przy ścianie, aby przynajmniej zdaleka mógł się widokiem pięknej Sylwii napawać.

Właśnie się był ubezpieczył, że go ztamtąd nikt nie wyruguje, gdy we drzwiach ruch postrzegł i z bijącym sercem poznał po słusznym wzroście i ślicznej, radością rozpromienionej twarzy Sylwię, która, choć po raz pierwszy w życiu znajdowała się w towarzystwie tak tłumném i z tak dobranych żywiołów złożoném, miała pewność siebie największą i nieustraszoną odwagę kobiety, która czuje, iż do tego świata jest przeznaczoną.

Szła jak królowa, śmiała dokoła rzucając wejścia, ubrana ze smakiem wielkim, a razem z pro-

stotą jój wiekowi przyzwoitą; szła z uśmiechem na ustach, zdając się mówić.

— Patrzcie jak innie Bóg piękną stworzył, i jak mi z tém dobrze.

Włosy jój cudownie były związane wedle rysunku z kamei greckiej zdjętego i dodawały rysom twarzy szlachetnego, klassycznego wyrazu.

Suknia jasna, śliczne koronki, łańcuszek złoty wenecki na szyi, u boku zegareczek z emalią kameryzowany, na ręku biały szal turecki, jak do portretu ją ubierały.

Nad wszystko jednak ubierała ją młodość i te dziewicze kształty posągowe, które ówczesny strój uwydatniał, a żadna sztuka naśladować nie mogła.

Tuż za nią pani Wojska Czeżewska z minką ściągniętą, zesnurowaną, *d'une vraie précieuse ridicule*, z oczkami przymrużonemi, sentymentalna jak niewinna srogich losów ofiara, szła panosząc się sobą, aby ją uchowaj Boże o plebejuszostwo nie posądzono. Nakładła tego dnia na siebie co tylko mogła, i kokardami, fontaziami, wstążkami, fiokami, pstrocizną uczyniła się jak najdoskonalej śmieszna.

Była to żywa karykatura paryzka, ale ona jedna wcale tego widzieć nie chciała.

Za nią przesuwawała się żwawo, zamaszysto, strojna z prawdziwą dobrego tonu choć trochę jaskrawą elegancją, majorowa, wesola, trzpio-

cząca się — łająca jednych, drugim coś poszeptująca na ucho, popychając, śmiejąc się, dowcipując, dając znaki oddalonym, wszystkim znajoma, miła, a tak pewna siebie, jakby tu była niezbędnym kółkiem w maszynie.

Nim do miejsc dla siebie przeznaczonych doszły, miała zręczność mówić po francusku, po polsku, po włosku, zdaje się nawet po niemiecku. bo rodzina Hoymów zajmowała też miejsce w krzesłach.

Oczy wszystkich a szczególnie mężczyzn młodych i starych, zwracały się na piękną nieznaną, na Sylwię. Panie którym przybywała rywalka mierzyły ją od stóp do głów, w tym żywym, ślicznym posagu szukając plamki, rysu, czego byś coby było wadą, coby psuło harmonię całości, coby pierworodnej zmazy ludzkiej było piętnem.

Z niepokojem trudnym do odmalowania wlepiały wzrok w twarzyczkę jej, wyraz i charakter chcąc zbadać. Nie brakli jej inteligencji? nie będzieli śmieszna? Egzaminowały strój, czy nie zdradzi niedostatku smaku i parafianstczyzny? Z siłą intuicji, jaką posiadają kobiety, wcielały się w to nowe bóstwo, aby odkryć słabą stronę jego, coby je między słabe, pospolite córki Ewy strącić pozwalało.

Jedyną plamką jaką mogły w Sylwi znaleźć, był zabawnie się przedstawiający, okrągłuchny

polonns, jój ojciec, który tuż ją ścigając, skarbu swego z oka nie spuszczał.

Ojciec ten kontuszowy dowodził, że i wychowanie panny, na wpół przynajmniej, staropolskie być musiało.

Czcigodny nasz szambelan Burzymowski na ten dzień występu *coram publico*, przybrał był, na nieszczęście fizyognomię jakąś niezwykłą, uroczystą, z którą mu nie było do twarzy. Czuć było że ją zapożyczył. Wystroił się téż wiernym pozostając *moribus antiquis*, w najparadniejszy kontusz, w karmazynowy żupan, w złocisty pas na zbyt gruby, który na żołądku już i tak zaokrąglonym tworzył górę ogromną. Czapkę wspaniałą z obawy, aby mu jój nie pognieciono, niósł w rękę wysoko unosząc nad głową.

Ale niczém było to wszystko przy nieocenionym wyrazie twarzy, na dni powszednie wesolój, jowialnój, rubasznój, a na ten wieczór przerobionój w statystę.

Więc usta nadęte, czoło miał namarszczone, głowę w tył odrzuconą, a cała postawa wynasładowaną była z jakiegoś niedobrego wzoru, dla szambelana niewygodną, dla patrzących zabawną.

Burzymowski niosąc w garści zaproszenie, był pewnym, że jest w prawie zająć miejsce na straży okolo córki, i wcisnął się za nią między krzesła, depcząc suknie, miętosząc stroje, gdy uan zewsząd sykać zaczęto.

Pierwsze te rzędy krzesel były wyłącznie tylko dla samych dam odseparowane.

Majorowa widząc to, nachyliła mu się do ucha.

— Panie szambelanie, niech pan sobie miejsca szuka gdzieindziej, tu same kobiety! Widzi pan, tu nie można!

Obejrzał się Burzymowski.

W istocie mężczyźni u drzwi i w ostatnich rzędach się skupiali. Rad nie rad musiał się rejterować, co mu humor nadwreżyło. U wnijscia do którego się wycofał, ujrzał twarze znajome Kalinowskiego i młodzieży śniadaniowej, witając go nadzwyczaj serdecznie. To go ujęło znowu i przywróciło myśl dobrą.

Pan Pacewicz schylił mu się do ucha.

— Chodź pan do nas! co ci tam do bab pilno! Nim się rozpocznie gra i kortyna podnie sie, wychylimy w kąciku burgunda po lampeczce To nam oczy zaostrzy.

Oparłby się był szambelan, bo i burgunda znajdował nie w miejscu, i chciał choć zdaleka patrzeć na córkę a pilnować jęj, ale młodzież go siłą, mocą pod ręce uchwyciła, i niemal w powietrzu uniosła, wołając.

— Szambelanie, cygan się dal powiesić dla kompanii, czyżbyśmy gorsi być mieli od cygana! Chodźmy!

— Chodźmy! Chodźmy! — powtarzano dokola

natarczywie, i szambelan sam nie wiedział, jak się znalazł za drzwiami, w sionce i w bufecie.

W tym improwizowanym bufecie, który podobno panu Ledoux z Tepperowskiego pałacu powierzono, ścisk już był i gwar. Młodszy i starsi chłodzili się i rozgrzewali, niektórzy dla pań kupowali cukry i łakocie.

Burzymowski zostawiony sobie nie dostałby był ani kropli wody nawet, ale panowie prowadzący go mieli swe prawne przywileje, zasługi, głos przeważny i na jedno ich skinienie tłusta butelka burgunda natychmiast się zjawiała, jako przednia straż tych, które w ślady za nią iść miały.

Burgund nie był już teraz od rzeczy. Szambelan się rozmyślił, rozważył i znajdował że się nim pokrzepić nie wadziło; najprzód z téj racyi, iż u obiadu pani kasztelanowej tylko lekkie wino stołowe węgierskie podawano, które wedle teoryi Burzymowskiego kwasy w żołądku mnożyło, powtóre, że się czuł bardzo zmęczonym, a na znużenie nie ma lepszéj rzeczy nad kieliszek wytrawnego, krzepkiego jak burgund wina, naostatek ponieważ mu nierozsądna jakaś trwoga o córkę serce uciskała, a chciał ją rozpędzić.

Kielich więc wystalego burgunda przychodził w porę, siły mógł dodać... przyjął go szambelan i wszyscy ochoczo się stuknęli.

-- Oby się nam dobrze działo! — zawołał



mrugając szambelan i nadając toastowi szerokie znaczenie.

Młodzież otaczająca go, dając mu poznać iż doskonale zrozumiała doniosłość życzenia tego, także mrugać i uśmiechać się zaczęła. Wzięto go w obłężenie i otoczono nieprzebytém kołem.

— Jedna lampeczka dobra rzecz! — dodał smakując Burzymowski.

— Dwie jeszcze są lepsze, bo *bis repetita placent!* — podchwycił Kalinowski, — jest to aksjomat niewzruszony.

— Ba! ale nieskończenie prawdziwsze i uroczystsze jest, mistycznego znaczenia *omne trinum perfectum!* — wtracił inny.

— Cztery, aby było do pary! — wołał trzeci.

— Pięć jest połową dziesiątka, — dodał ktoś z boku.

— Sześć stanowi dwie trójce!

— Zlitujcie się! co te wszystkie liczby znaczą przy siedmiu! Siedem dopiero to mi lik! Liczba kabalistyczna, dni w tygodniu, kolorów w tęczy, mędrców... i nieporachowanych zjawisk najprzedziwniejszych...

— A! niech ichmościów z ich arytmetyką! — rozśmiał się szambelan, trzymający się jeszcze jedności. — Na jednym dość! Trzeba pamiętać, że — *ne quid nimis*.

I tak pito a dolewano nieznacznie z tyłu do kieliszków napoczętych.

My zostawmy szambelana w dobrém towarzystwie, a powróćmy do sali.

Miejsce dla mających przybyć pań było zachowane, wskazała je usłużna majorowa.

Obok Sylwii siedziała już osóbką nie zbyt ładna, ale młodością i życiem, wyrazem rozumu i dowcipu odznaczająca się w tłumie. Pomimo nadzwyczaj starannej toalety, można było dostrzedz, gdy się poruszała, jakby odrobinę ułomności, jedno ramię trochę wyższe, ale to jęj nie szpeciło. Gasiła tę przypadkową wadę twarzyczka tak rozjaśniona, tak rozumna, umiejąca przybrać wyraz jaki chciała, tak przejęta wewnętrznym jakimś duchem młodzieńczym, iż przy niej najpiękniejsze nie zwracały uwagi; wydawały się martwe, bez życia, bezduszne.

Z ust i oczów tryskała jakaś siła, oznajmująca bogate wyposażenie głowy i serca.

Panienka ta od wnijscia Sylwii śledziła każdy ruch jęj z ciekawością, z chciwością, a gdy szambelanówna usiadła przy niej, nie przestała badać najmniejszego szczegółu powierzchowności swęj sąsiadki. Majorowa, zapewne już przygotowana na to, natychmiast przedstawiła pannę Burzymowską hrabiance Anecie Tyszkiewiczównie, córce pani hetmanowej, której między widzami nie było, bo miała wystąpić na scenie.

Niemłoda już pani hetmanowa miała taki ta-

lent dramatyczny, taką dystynkeyę i wdzięk na scenie, iż wszystkie serca podbijała.

Hrabianka Aneta była jedną z gwiazd Warszawy, szczególniej się odznaczając rozlicznemi talentami, wielką nmysłu żywością i znakomitým wykształceniem. Artystka, rysownicza, sztycharka, zapalona czytelniczka wszystkiego co na świat wychodziło, miała nad pospolitemi kobietami wyższość, jaką jēj nadawały przymioty, które piękność zastąpić i kazać o niej mogą zapomnieć. Dlatego wdziękami nie mogąc walczyć z innemi współzawodniczkami, hrabianka Aneta zwyciężała je łatwo jedném słówkiem, i jak matka wdziękiem i słodyczą, podbijała dowcipem, często ostrym i wyższością umysłu niezaprzeczoną.

Lękano się jēj zarówno, jak o łaski jēj starano. Narazić się hrab. Anecie było to niepowrotnie się zgubić. Umiała okryć śmiesznością, a komu przyczepiła grzechotkę, ten się jēj już pozbyć nie mógł. Sława jēj dowcipu była ustaloną w Warszawie, powtarzano trafne jēj słówka, a może i na rachunek hetmanówněj tworzyć je sobie pozwalano..

Po drngiej stronie miały przybyłe panie piękność już nie młodą, goniącą ostatkami, świetną jeszcze przy wieczornych świeczkach i mroku, niezmiernie strojną, niespokojną, rzucającą oczyma na wszystkie strony.

Majorowa na ucho oznajmiła Czeżewskiej, że to była z domu księżniczka Sapieżanka, następnie księżna Sangszkowa, a teraz hrabina Sewerynowa Potocka, — i że oczy jój biegały tak szukając pana Michała, syna jeneralowój Grabowskiej.

Z kolei cały ten wieniec piękności najrozmaitszych musiała majorowa po imionach i nazwiskach dać poznać Sylwii, której też panna Aneta zabrawszy z nią prędką i łatwą znajomość, służyła uprzejmie swą wszechwiedzą, ostrożnie dowcipem zaprawną.

Rozpoczęta rozmowa i zbliżenie się hrabianki Anety do szambelanówniej, dało jój poznać, że miała przed sobą niestrwożoną i trwożliwą wieśniaczkę, ale istotę bardzo dobrze usposobioną i przygotowaną do wcielenia się w świat wielki. Rozumiała wszystko od pół słowa, domyślała się łatwo tego co dopowiedzieć nie wypadało, niepotrzebowała długich wyjaśnień. Dwie panienki wybornie do siebie przystały. Sylwia miała szczęście się podobać, prawda że dowcipem wcale się nie myślała mierzyć z hetmanówną, a umiała go ocenić...

Ukazanie się świeżej, nieznaniej piękności w Socjecie, osóбки, o której jeszcze nikt nie powiedział nie umiał, na którą wszystkie oczy były zwrócone — robiło wrażenie ogromne.. Zapytywano do koła, kto to mógł być taki? — zkąd? —

pod czyim patronatem wchodziła w towarzystwo? — do jakiej jego części miała należeć?

Na chwilę wszystkie panie musiały uczuć trochę zazdrości, takie dziewczęta piękność wieśniaczki wywoływała zachwyty, tak pod pierwszém wrażeniem zgodnie, cały ten świat uznawał ją — prześliczną.

Wprawdzie kobiety wkrótce potem znalazły różne drobniańskie skazy na tym dyamencie. Jedna pani utrzymywała, że oczy miała za duże, druga że usta za małe, inna że jej pleć była wieśniaczo, chłopsko świeżą a niedystyngwowaną — i t. p. Mężczyźni jednak wszyscy godzili się na to, że piękność była pierwszj wody.

Ksiązę Józef, który ze swym przyjacielem, zakrytym kilku Francuzami stał w kątku i wpatrywał się w Sylwię z nietajoném zachwyceniem, tak się urządził z wyborem miejsca, despotycznie trochę, aby w ciągu całego przedstawienia z oczów jej nie tracić.

Kiedy niekiedy wejrzenie jego spotykało się ze wzrokiem majorowej, która zdawała się mu coś chcieć dać do zrozumienia, ale ksiązę jak gniewny i zmieszany, natychmiast oczy odwracał.

Szambelana nie było ani śladu, młodzież opadowawszy go, trzymała w bufecie, niepuszczając do teatru. Mieczysław Grabski stojący opodal, zaledwie mógł oczyma niespokojnemi raczej odgadywać niż dopatrzyć co się działo z jego ku-

zynką, której ledwie grecką dostrzegał fryzurę. Marszczył brwi, na próżno ojca szukając.

Gdzie się zapodział, pojąć nie mógł? — Widział go wchodzącego, a przy córce nie był, w tłumie u drzwi znaleźć go nie umiał. Tymczasem oczy niebezpieczne, czarne, śliczne oczy księcia magnetyzowały dziewczę nieopatrne, które ich nie unikało.

Gdyby nawet, zawsze usłużna majorowa księciu nie pokazała Sylwii i nie nazwała go, szambelanówna z widzenia przez okno w powozie, sama go była poznała.

Wydał się ję idealnie pięknym, miał w sobie coś pańskiego, szlacheckiego, rycerskiego, co go wyróżniało od wszystkich, jak gdyby innej krwi był, rodu, plemienia, niż ci co mu do kola stojąc, dworowali. Odblask tronu lśnił się na nim jeszcze. Nawet Francuzi, duki i markizy z wielkimi tony swojemi, wyglądali przy nim na lokajów. Sylwia spojrzała i spotkała wzrok jego wlepiony w siebie, przeszywający, ognisty, natrętny. Zarumieniła się odwracając oczy, lecz gdy po chwili, nieśmiało znowu wzrok rzuciła w tamtą stronę, znalazła jego źrenice czarne, nieporuszone, nieprzestannie jeszcze patrzące na nią. Zrobiło się ję gorąco, dreszcz przebiegł po ramionach, chciałaby była uciec, skryć się od tego wzroku napastliwego, zuchwalego, mówiącego nadto i męczącego ją natarczywością swoją.

Poczęła rozmawiać z panną Anetą, która jej właśnie oświadczyła, że po teatrze radaby ją zawieźć pod Błachę, aby tam poznała matkę jej, panią hetmanową.

Sylwia była tém uszczęśliwioną i wdzięczną.

Nie spoglądała długo w tę stronę, gdzie stał książę Józef, ale, rzecz dziwna, nie widząc jego wejrzenia, czuła je na sobie, paliło ją — a gdy po długim przestanku ukradkiem się chciała przekonać czy książę jeszcze patrzył na nią — z przerażeniem zobaczyła czarne oczy jeszcze z większym natężeniem, wyrazem, blaskiem, jakby szukające jej wzroku.

Zapłonęła niezmiernie, gdyż pomyślała że tak jak ona, wiele innych osób mogło dostrzedz to spojrzenie i tłumaczyć je sobie.

Złękła się tego, ale razem szczęśliwą była i dumną.

W młodej główce co się to czasem roić może!

Któż wie? — widziała już może na białych ramionach swoich gronostajowy płaszcz książęcy, siebie panią i królową, u nóg swoich dwór cały, świat ten cały, a pięknego księcia, bohatera u boku — książę wydawał się jej coraz piękniejszym; zręczna postać jego rysowała się na białej ścianie sali w półcieniu, jakby ustawiona na piedestalu — nie poruszał się prawie.

Francuzi którzy się kusili zabawiać go roz-

mową, widząc że do niej nie miał ochoty, odsunęli się nieco.

Kamenecki i Rautenstrauch zdawali się stać na straży, aby mu w jego zadumie nie przeszkadzano.

Dwór przyjacielski księcia Józefa łatwo było odróżnić po stroju, wszyscy doń należący mieli na sobie ubranie zwane mundurem przyjacielskim, złożony z całego *ad hoc* garnituru: fraki zielone z czarnymi kołnierzami aksamitnymi, z guzikami na których stał napis: *Jabłonna*, i pąsowe kamizelki, szamerowane po huzarsku.

Przypominało to przyjacielskich Albeńczyków i Szczęsnego Potockiego Tulczynieckie liberye, upodlający serwilizm i lokajstwo szlachty otaczającej magnatów — ale nie wszyscy też przyjaciele księcia Józefa radzi przywdziewali tę barwę dworską.

Po długim oczekiwaniu podniosła się wręście kurtyna; — szmer rozmów jakby czarodziejską różeczką zaklęty, nagle zmienił się w najuroczystszą ciszę, i wszystkie prawie wejrzenia zwróciły się ku scenie.

Mówimy: prawie, gdyż księżę Józef był tego dnia roztargniony, zadumany, i wołał się przypatrywać pięknemu temu parterowi kwiatów, który miał przed sobą.

Grano tego dnia Dorat'a — *La feinte par amour*.



Nie będziemy ani podawać treści téj komedyi, ani opisywać gry artystów, dosyć powiedzieć, że widzowie wszyscy byli zachwyceni; a panie Vauban, księżna Ewa Sulkowska, Sobolewska, panowie Vauban, de Beaumont, Grabowscy i inni co chwila wywoływali frenetyczne oklaski.

Szczególniej zimny i sztywny Vauban, który w codzienném pożyciu zdawał się bardzo pospolicym człowiekiem, na scenie okazywał talent dramatyczny znakomity, jakiego się po nim nie można było spodziewać, — szło wszystko jak z płatka, bo nawet role były doskonale wyuczone, i nie potrzebowały powoływać się do budki suflera. — Na twarzach publiczności malowało się zdumienie i przejęcie.

Ze sztuki dowcipnej Dorat'a, wiał francuzki duch dawny, coś wypieszczonego, wydelikacowanego, wysmażonego, wydającego się tak dziwnie dystyngwowanym, jakby być miało ideału cywilizacyi wyrazem, zamiast jego karykaturą.. Niestety, styl ten był zwiastunem przeżycia się i chorobliwego wycieńczenia.

W czasie sztuki Sylwia słuchała jój z wielką uwagą, i z większą może niż inni słuchacze naiwnością dała się porwać urokowi tego języka i akcyi; okazywała szczerze swe wrażenia, ale to ją ożywiało, czyniąc piękniejszą jeszcze. Księżę Józef patrzył a patrzył na nią jak w zwierciadło,

w którym się komedia odbijała. Czasem i ona zwróciła szybko oczy, czy też zawsze ściga on ją tym nieznośnym wzrokiem i przekonywała się, że książkę był niesłychanie uparty.

Któż nie wie o tém że oczy mówić umieją, że wzrok nie tylko powiada — kocham cię, nienawidzę, gardzę, brzydzę się tobą, ale ma sposób oznaczyć dobitnie każdy odcień myśli i uczucia? Sylwia pierwszy raz się w życiu przekonała, że niema taką można było prowadzić rozmowę i doskonale się rozumieć.

Mówiła mu:

— Ale, proszę księcia, wszyscy patrzą, ja się wstydzę!

Książkę jej odpowiadał.

— Przestać na ciebie patrzeć jest nad siły moje.

— Czyż znowu? — czyż jeszcze?

— Muszę! — Nie ustąpię kroku, nie odwrócę oczu!

Ależ — ludzie?

— Co mi tam świat i ludzie?

Niech wiedzą wszyscy że ty jesteś bóstwem dla mnie.

— My się nieznamy przecie.

— Ja cię poznać muszę — i t. p.

Co się tymczasem działo z szambelanem, niepodobna było odgadnąć. Wprawdzie komedia po francuzku grana, szybko, żywo, nie byłaby mu

może całkowiecie zrozumiała, ale powinien się był choć pokazać między widzami i pośmiać na wiarę cudzą, gdy się wszyscy śmiali. Ani jego ani młodzieży co mu do bufetu towarzyszyła nie było w sali. Czasami niektórzy z téj bandy ukazywali się we drzwiach na krótko, zarumienieni, w dobrych humorach — i wnet znikali. Zdawali się tylko przybywać dla przekonania się że teatr był jeszcze pełny.

Grabski wszystko zdala obserwujący, bladł i niecierpliwił się, odgadł był prawie spisek na starego uknuty.

Nie mógł nic poradzić na to. Widział ze swego miejsca jak Syłwią opanowano, wciągnięto w koło dam z pod Błachy, jak ożywiona, szczęśliwa, zapomniawszy o ojcu cała się oddawała nieznanéj, nowéj dla siebie przyjemności.

Odwróciwszy się po chwili ujrzał Mieczysław przy sobie stojącego nie młodego mężczyznę. ze smutną jakąś twarzą na której ślady lat przeżytych burzliwie bardzo były widoczne.

Ubrany skromnie, z założonemi na piersiach rękami, oparty o mur przyglądał się i przysłuchiwał z uwagą wielką, znawcy i miłośnika sceny. Grabski znał tę twarz z widzenia, nie mogąc jćj sobie przypomnieć z razu. Dopiero szukając w pamięci nazwiska, trafił na Bogusławskiego. On to był w istocie.

A że Mieczysław był mu niegdyś prezento-

wany, pomiędzy aktami zbliżył się do niego przywital i przypomniał mu się.

Stary milcząco, skromnie, z jakąś nieufnością przyjął Grabskiego, był pod wrażeniem przykrém, przygniatającem.

— Cóż pan, jako najlepszy znawca, mówisz o grze tych artystów amatorów? zapytał go po cichu Grabski.

— Wyborna jest! odparł Dyrektor. Przyszedłem uczyć się i podziwiać, bo ze wszystkiego należy korzystać. W rolach salonowych są to aktorowie nie porównani — dodał z nieco dwuznacznym uśmiechem, w nich téż oni więcej od nas mają wprawy.

Cale życie aktorami być nawykli, My schodząc z desek radziśmy być prostemi ludźmi, jak nas pan Bóg stworzył — oni —

Nie dokończył Bogusławski czując że nadto może był szczerym, a po chwilce milczenia, dodał jak gdyby pod ciężarem trapiącej go myśli.

— Jutro byśmy tego Dorat'a, mogli dać na polskiej scenie, o nie wiele gorzej może, ale któż przyjdzie słuchać nas i patrzeć na nas po tych dostojnych artystach? Konkurencji z hrabiami i książętami nie sprostamy — ani talenta, ani stroje nasze!

Pan młodym jesteś — mówił ze łzą w oku Bogusławski — nie pamiętasz lub nie widziałeś na naszej scenie — Powrotu posła, a potem, Kra-

kowiaków i górali. Nasz teatr trzeba było naówczas oglądać, gdy jedno serce biło na scenie, w łożach i na parterze, Na ówczas rosnał aktor, siły mu dodawała publiczność, z nim i w nim grali wszyscy.

Otarł łzę stary Bogusławski a Grabski szepnął poruszony.

— Mylisz się, szanowny dyrektorze — bardzo młody jeszcze, z całą żywością uczuć młodzieńczych, słuchałem Powrotu posła i — byłem na Krakowiakach!

Bogusławski za obie ręce go pochwycił, oczy mu oschły i zaiskrzyły się.

— Byłeś pan! byłeś! zawołał drżącym głosem—A! to były czasy szczęśliwe. — Nie! to był sen i marzenie! Znikło też i rozwiało się jak senne mary!

Kortyna podniosła się znowu. Grabski daleko był mniej zajęty Dorat'em i maleńką sztuczka, która po nim nastąpiła, niż Sylwją i jej ojcem. Czuł się coraz niespokojniejszym, a szambelana jak nie było tak nie było.

Zapadła nareszcie zasłona po raz ostatni wśród grzmotu nieskończonych oklasków, wszyscy wstawać zaczęli, zamieszanie wielkie wszczęło się na sali, a że widzowie powstawali z miejsc swoich, Micio nie mógł już nawet dojrzeć co się działo z Sylwją i jej ojcem. Chciał co najprędzej wynisnąć, ale właśnie u drzwi płatnych miejsc ścisł

był taki, że przecisnąć się stawało niepodobieństwem.

On i Bogusławski wstrzymani, zdnszeni, cofnęli się dając inszym, szczególnież kobietom, wydobyć z tłumu i nieprzyjemnego tłoku. Czekali trochę, próbując po kilkakroć przebić się napróżno, — czekali znowu, i tak aż prawie do samego końca, gdy się już tylko resztki pozostały.

Grabski wybiegł nareszcie z sali, i na myśl mu przyszło zajrzeć do bufetu, jakby miał przeznaczenie iż tam wciągnięto starego.

Znowu zmuszony przebijać się przeciwko prądowi, dostał się do pierwszej izdebki, w której nikogo już nie było, gdy do drngiej zbliżywszy się zaleciał go głos znajomy.

Szambelan otoczony pięcią czy sześcią młodzieży, z kielichem w ręku, właśnie im nader raźnie i zamaszysto opowiadał jak dzielnym był niegdyś myśliwym i jak na polowanin u książąt Sanguszków wypadł na niego razem dzik i rogacz.

— U księcia, mości b dzieju, porządek w myślistwie był rarytalny. Każdy myśliwy miał przy sobie chlópaka, który co najmniej dwie strzelby nabite trzymał w gotowości dla niego. Ja miałem właśnie jedną pogotowin w ręku, gdy usłyszałem łomot — patrzę s adzi na mnie wprost, wspaniały rogacz. Jak nie palnę... brzdęk! wywrócił się, a tu chlópiec mi drngą fuzją ciśnie, — odyniee! Złożyłem się do bestyi. Jak huknę, mości b dzieju — wywró

cil się i jneha mu pyskiem buchnęła! A, to powiadam acindziejom, na rękn mnie tego dnia nosili...

W ciągłn opowiadania szambelan spostrzegł stojącego we drzwiach jak widmo, nieporuszonego Grabskiego.

— A! acindziej tu co robisz! mocanie Micin? zawolał.

— Wszyscy się zwrócili ku nowemu gościowi i, znaki sobie dając, żwawo się wysuwać poczęli, nawet bez pożegnania. Grabski się zbliżył do szambelana.

— Już po teatrze! rzekł do niego.

— Jakto! co gadasz! po teatrze! Słyszę się jeszcze nie zaczęło! Coś tam zabrakło... zawolał szambelan, ci panowie mi ręczyli.

Obejrzał się na swych towarzyszków, aby się do nich odwołać, obwinionych już nie było.

— Sztuki obiedawno odegrane — dodał Grabski — wszyscy się do domów rozjechali, na sali niema nikogo.

Szambelan osłupiał!

— Ale — możeż to być? zakrzyknął szukając axamitnej swej czapki, którą tak troskliwie niósł nad głową w rękn, aby mu jej nie znięto. Czapka znalazła się ale spłaszczona i wysiedziana w niwecz... Burzymowski strzepując ją aż nogą tupnął z gniewu.

— Najslodsze serce Jezusowe! zawolał. Co ty

prawisz! sztuka skończona? wszyscy się rozjechali? Możeż to być? któraż godzina?

— Ostatni prawie wyszedłem z sali; — potwierdził Grabski.

Szambelan począł się spieszyć klnąc po cichu. Wybiegli oba ku teatrowi, bo Burzymowski chciał się przekonać naocznie jak rzeczy stały. W teatrze istotnie zastał pustki, dwie tylko świeczki lojowe palily się w kątach, a kilkun ludzi rozpatrywało się w pogubionych rzeczach, w pozapominanych chustkach i szalach.

Przed pałacem Radziwillowskim powozu nie było żadnego, glucha cisza. Jeden chłopaczek z latarnią, prosił się do przeprowadzenia.

— A no, to chodźmy z nim do domn — rzekł Burzymowski z rezygnowany, Nie tak ci to daleko a mnie nie pilno. Prawda że teatr straciłem wdawszy się z temi szalaputami, ale com się nba-wił tom się ubawił — powiadam ci, jak nigdy. Serdeczni to ludzie, młodzież złota! A lga!! aż się za niemi kurzy, ale z taką fantazją, zawsze *arte* i zabawnie!!

Sylwja — dodał szambelan idąc, będzie na mnie markotna, bo — *mea culpa*, winienem, za-balańncilem się jak młodzik! przeproszę ją! Przecież Czeżewska zna miasto jak swoją kieszeń, i powóz miały i służącego, więc o nie się pewno nie zafrasowały! Nie się im nie stanie.

Grabski milezał posępny, szli dalej.



— Lękam się, — odezwał się wreszcie Micio — czy tylko powrócili do domu?

— No! a gdzieżby być miały? cóż znowu? zaśmiał się Burzymowski — do kościoła za późno, a na przejażdżkę za wcześnie.

— Nie wiem, ałem obserwował, — rzekł Grab-  
ski, — że Sylwia porobiła znajomości, otoczona  
była przez panie i — mam jakieś przeczucie że  
ją musiano gdzieś zaprosić na resztę wieczora.

— Cóż znowu? co znowu? gdzie? jak? be-  
zemnie? tak obcesowo? To nie może być! zawo-  
łał szambelan — imaginacya!

Spiesznym krokiem szli ku Miodowej nlicy.  
Zbliżając się do domu podniósł oczy szambelan  
ku oknom pierwszego piętra, nie zobaczył w nich  
światła, ale wytłumaczył to sobie tём, że tylko  
co powróciwszy panie się jeszcze z wielkich toa-  
let rozbierać musiały.

Zybek, jak zwykle, dla lepszego przypatry-  
wania się miastu, stał we drzwiach. Zobaczywszy  
go zdala niespokojny trochę Burzymowski zawołał.

— Zybek! dawno panienka powróciła?

— A! panienkiż nie ma! — odparł chłopak —  
musić w tyatrze czy co.

— Jakto nie ma? trutniu jakiś! jakto nie ma!  
Musiałeś, ty jucho, latać i prześlepileś gdy wró-  
ciły — zawołał gniewnie szambelan.

— Ani krokiem nie ruszałem się od tego progu —  
odpowiedział Zybek — toć oczy mam, widziałbym.

Z wielkim pospiechem i rosnącym niepokojem, wprost na górę popędził stary, i wpadł do garderoby, gdzie służąca ze wsi i służąca z miasta wzięta, w towarzystwie jakiegoś eleganta z ogromnemi pseudo — koralowemi dewizkami na żółtku, zabawiały się wesołą konwersacją.

— Panienka — powróciła? — zabuczał głos szambelana.

Towarzystwo niezmiernie zmięszane — pierzchnęło na widok tej twarzy Meduzy we drzwiach, a jedna z panien odpowiedziała, głos odzyskawszy.

— Panienki nie ma! Pan nas tak nastraszył!

Burzymowski drzwi nawet nie zamknąwszy, w rozpaczę się stoczył na dół do oczekującego nań Grabskiego.

— Patrzaj że! patrzaj! poczał jeszcze na wschodach. Bodajby cię z proroctwem twojem, a mnie z mojem bałamuctwem wszakci — ich nie ma!

Co to może być!!

Weszli na dół do stancyjek, w których Zybek już był świecę zapalił, i znając obyczaj pański, gotował się go z kosztownych szat rozbierać.

Łaska to Boża była dla szambelana, że jedno zmartwienie, drugiego mu postrzedz nie dało. Buty! owe paradne buty pooblewane były i srodze zabłocone, czapka pognieciona straciła cały swój urok dziewczyny, a na paradnym kontuszu i żupanie plamy od wina pozyszywały świadczyły wymownie, gdzie i w jakim znajdował się towa-

rzystwie. Co najgorzej! pas ucierpiał złocisty, okapany łojem!

Zybek nie mógł się wstrzymać aby, zdjawszy z pana kontusz, nie pokazał mu zaraz szkód i obelg jakie poniósł w teatrze. Innego czasu kłął by był Burzymowski na czém świat stał, teraz był tak zgryziony i znękany że to nowe nieszczęście najmniejszego już na nim nie uczyniło wrażenia.

— Pał go tam djabli! mruknął niewyraźnie, dając kulaka Zybkwowi.

Chciał Grabski odejść, nie puścił go szambelan.

— Nie odstępuj że ty mnie! ratuj! radź! krzyknął niemal płaczkliwie, ręce załamując, gdyż wino uczyniło go sentymentalnym. Co my tu poczynać mamy? Gdzie się one podziąć mogły, a raczej ona — bo o Czeżewską mi nie chodzi, choć by z kretesem przepadła?

— Być może, iż majorowa ta, która z niemi była, zaciągnęła je do siebie na kolację, rzekł usiłując go uspokoić Grabski, ale mogły i te panie przy których siedziały, bom widział koło Sylwji hrabiankę Anetę Tyszkiewiczównę, — zabrać z sobą pod Blachę.

— Tego by mi tylko jeszcze brakło!! tego! na domiar nieszczęścia mojego! zawołał ręce ku niebu podnosząc szambelan.

Narzekań biednego ojca powtarzać nie będziemy, bił się w piersi i obwinał. Grabski przez

litość starał mu się to w muiój przykrém świetle przedstawić.

Przesiedzieli tak prawie do północy.

Nareszcie nsiłyszano turkot powozu, który się u drzwi zatrzymał i nieszczęśliwy ojciec wybiegł na córki spotkanie. Grabski pozostał umyślnie, czując że w pierwszej chwili byłby tam zbytccznym.

Sylwia jak anioł piękna, jak ptaszek wesół, rzuciła się ojcu na szyję.

— Tatku kochany!—zawołała—nie nwierysz jaka ja jestem szczęśliwa! wszystko to winna jestem tobie, mój drogi, mój najlepszy ojcie!

Szambelan który nagotował się był ciskać piornny, rozbrojony, osłupiały — stał niemy.

— Ale cóż się z wami stało? zaczął przychodząc do siebie i głos odzyskawszy. Gdzieżście mogły być bezemnie? bez wiadomości mojej? Ja tu ze strachu umierałem.

— Byłyśmy pod Blachą! kochany tatku! — szcobiotała Sylwia. Pani hetmanowa z panną Anetą, zabrały nas. Szukałyśmy ciebie wszędzie, czekały, posyłały, nigdzie tatka znaleźć nie było podobna... A! co za wieczór rajski! jakie towarzystwo! co za ludzie! Jakie śliczne i miłe panie Co za dystyngwowani ci francuzcy panowie.—

Cześwska która stała czekając żeby się odezwać, pospieszyła dodając z amfazą, jakby była twórczynią tego tryumfu.

— A! córka pana szambelana, zrobiła tam, prosto mówiąc, konkiętę całego świata! wszyscy nią zachwyceni, nniesieni, w admiracjach! Jutro jesteśmy proszone na obiad *en petit comité* do pani hetmanowój na Górę.

Fakt był spełniony! po tém co się stało cóż jnż mógł mówić szambelan? Spuścił głowę, potrząsł nią, zmilezał, nie pisał ani słowa, przyjął życzenie dobrej nocy od córki i powrócił do Grabskiego oniemiały.

Popatrzał mu w oczy długo, potrząsając głową — uściskał go i rozplakał się. Burgund wlewał się łzami.

— Ale powiedz że ty mi — odezwał się żałościwym głosem, upadłszy na krzesło — powiedz mi tak sumiennie, rzetelnie, uczciwie, co ja tu winien? Skład okoliczności! nieprzeparty fatalismus! Żebyś się był nawet nie zagadał z temi szalawilami — to co? Mógłżebyś się ja oprzeć pani hetmanowój? — Nigdy w świecie! Nie było na to rady! powiadam ci — fatalizm! przeznaczenie!!

Grabski nie chcąc go drażnić wymówkami, już teraz próżnemi, zabierał się do wyjścia milczący.

— Ja tam na ten obiad do pani hetmanowój nie pójde—dodał zadumany Burzymowski. Przyjdź ty do mnie, zjemy razem i pogadamy! Złutuj się—

Ja głowę tracę z tą dziewczyną — a ona, powiadam ci, jakby ją kto na sto koni wsadził, taka szczęśliwa!

I tak się ten niefortunny dzień zakończył.

---

### III.

W pałacu na Górze, w małej salce jadalnej zasiadła niewielka liczba osób dnia następnego. Oprócz gospodyni i jej córki hrabianki Anety, byli oboje państwo Vauban, których rzadko razem widywano, baron de Fontbrune, książę Józef i Sylwia z nieodstępłą a uszczęśliwioną Cześką.

Szambelanówna była istotnie bardzo szczęśliwą, malowało się to dobitnie na jej pięknej twarzy; ale szczęście jej nie dorównywało rozpromienieniu pani wojskiej, która, choć ją nieco zaniedbywano, i mało się mogła mieszać do rozmowy, samém uczuciem tém, że się znajdowała wśród osób tak wysoko położonych, tak dystyngwowanych — była w siódmych niebiesiach.

Oglądała się, uśmiechała, wciągała z rozkoszą to błogosławione, wonią arystokratyczną przesiąkłe powietrze, napawała się szmerem rozmów, w całym znaczeniu wyrazu tego używała swojego szczęścia z rozrzewnieniem, z wdzięcznością opatrności.

Już teraz snuła sobie, jak będzie mogła później okraszać opowiadania, wtrącając do nich ten prosty ale wielkiego znaczenia frazes: „Gdyś była u pani hetmanowej.“

Lub: „Słyszałam jak książę Józef mówił.“

A nareszcie choćby: „Zapewniała mnie hrabianka Aneta, gdyś u nich była.“

Przed obiadem zaledwie zawiązać się mogła rozmowa.

Hrabianka Aneta porwała swą rówieśnicę, aby się przed nią pochwalić nieco swojemi zajęciami, zabawami, całym zasobem umiejętności i talentów.

Gdy książę Józef nadszedł z baronem, zbliżył się razem do hrabianki i do Sylwii, grzecznie je zapytując.

— Czy wczorajszy wieczór nie zaszkodził im? bo pod Blachą, jak zwykle, było bardzo gorąco.

Tak nawet tego dnia napalono, że pani Cichocka w tańcu omdlała. Przypisywano to jednak jakimś wrażeniu, silniej działającemu na nerwy niż ciepło pokojowe.

— A! owszem! — odparła Sylwia z właściwą



sobie swobodą i śmiałością. — Wróciłam bardzo szczęśliwa i rozmarzona wszystkiem com widziała i słyszała. Sny miałam czarodziejskie.

— Bardzobyśmy pragnęli, — odezwał się książę Józef, — aby pierwsze wrażenie, jakie na pani uczyniła Warszawa, nie popsulo bliższe jój poznanie. Będziemy się starali o to.

Sylwia miała jeszcze odwagę podziękować w ogóle za przyjęcie jakiego tu doznała, nadeszła panna Aneta, która na chwilę ustąpiła, a później wszyscy zasiedli do stołu.

Przy obiedzie mówiono o tym tysiącu drobnych miejskich wypadków, których znaczenie tylko dla wtajemniczonych było zrozumiałe. Hrabianka jednak z uprzejmością wielką, albo objaśniała siedzącą przy niej Sylwii o czém była mowa, lub osobno ją zabawiała o czém inném rozmową, usiłując wybadać i poznać bliżej tę wieśniaczkę tak odważną i wesołą.

Sylwia jakby przysposabiając się do ukazania na wielkim świecie, dużo czytała tych książek, które naówczas były w modzie; mogły więc wzajemnie sobie o nich udzielać postrzeżeń i myśli. Świat naówczas znękany radykalizmem rewolucyi i utopiami ideologów, którzy się zwracali do stanu natury (jaki tylko w ich wyobraźni mógł istnieć) zaczynał się rozlubowywać we wskrzeszonych czasach rycerskich. Pisano romanse sensacyjne, średniowieczne niby, pełne

szczęku broni i uczyć najtkliwszych. Wkrótce potem miała się ukazać Malwina, czyli, Domysłność serca, i Julia i Adolf, mogące dziś dać pojęcie o tém, jakie obrazy i fikcyje do serca społeczności przypadają.

Malarze tworzyli sceny, w których rycerze od stóp do głów okuci w żelazo, przyklękali przed bóstwy swojemi, przyjmując od nich kokardy i szarfy! Idealizowano mało znane wieki barbarzyńskie, jak najpiękniejszą przeszłość, do której wrócić się chciało, a że historyczne wiadomości, któremi się posługiwano do tego rezurekcyonizmu, niebardzo były obfite, dziwnie wyglądały i na obrazach i w książkach te poetyczne postacie, na wpół tylko wystudyowane, pół fantazyjnie dopełnione wedle smaku epoki.

Po takich kataklizmach jak rewolucya francuska, która swém zwierzęcém barbarzyństwem oburzała, zawsze się ludzie zwykli uciekać dla ochłody i pociechy ku przeciwległej ostateczności. Sentymentalizm więc wykwintny, uperfumowany, mdły szczepił się na świeżem zepsnieniu dawnych dworów i arystokracji. Nerwy, tkliwość, czułość, ekstazy miłosne były w modzie jak stroje greckie, co nie przeszkadzało złośliwemu dowcipowaniu, ani największej płochości obyczajów, bo sentyment miał ten dar, że wszystko uniewinniał i tłumaczył, a serce wszystko, nawet rozpustę rozgrzeszało.

U stołu, jak zawsze u pani hetmanowej i jej córki, dowcip grał wielką rolę — *on faisait assaut d'esprit*. Sylwii nawet rozgrzanęj i ośmielonej tym fajerwerkiem, wśród którego się znalazła, udało się parę razy szczęśliwie rzucić słówko, które książę podnieść umiał.

Wszyscy już od wczoraj to postrzegli, że młoda szambelanówna bardzo się księciu podobala. Pani Vauban zdala przypatrywała się jej uważnie, robiąc minkę nieco złośliwą, a po obiedzie znalazła się z nią — jakoś — sam na sam u okna.

Czy to był examen, czy próbka pozyskania sobie Sylwii — nie mogła zrozumieć sama nawet szambelanówna. Pani Vauban była dla niej, co się bardzo rzadko zdarzało, nadzwyczaj grzeczną i miłą. Zapraszała ją do siebie *en petit comité*, na wieczory, zebrała się na parę komplementów i wobec towarzystwa dała jeszcze jeden dowód, że wcale nie była zazdrosną.

Potrafił się też później i książę Józef zbliżyć do Sylwii, wypytując ją bardzo troskliwie o jej gusta, o upodobania.

— O! mości książę — odezwiała się Sylwia, — ja jeszcze jestem w tym wieku szczęśliwym, gdy wszystko jest miłym, a każda rzecz ciekawą.

Tak mało w życiu widziałam, że mi się wszystko miłym i zajmującym wydaje.

— Lubisz pani zabawy czy ciche w małym kółku spędzane godziny? — badał książę.

Sylwia nie chciała się zdradzać z niczém.

— Mnie się zdaje, — odpowiedziała, — że jedno drugie podnosi i czyni przyjemniejszém.

— A więc? — rzekł książę, — *diversité est votre devise?* Czy we wszystkiém?

I bystro zapatrzył się w jój oczy.

— Nie wiem jak to książę rozumiesz! — odparła Sylwia trochę zmieszana.

— W uczuciach serca, czy także pani potrzebujesz odmiany? — dodał książę.

— Na to pytanie, mości książę, — rzekła rumieniąc się wychowanka pani Wojskiej po pewnym namyśle, — jako bardzo jeszcze niedoświadczona istota mogłabym chyba odpowiedzieć teorią nie ze znajomości serca. Zamało żyłam. Wolalabym zapytać księcia o jego zdanie, i radabym wiedzieć jego usposobienie.

Spojrzała w oczy księcia z trochę złośliwości: książę się rozśmiał.

— Ja tak mało o tém wiem jak pani, — odezwał się wesolo. — Różnie się trafia! Sądzę jednak, że siła sentymentu, która nas przywiązuje do osoby, nie w nas leży, ale w niej. Uczucie może być stałym, gdy przedmiot co je obudza, godzien stałego uczucia.

— I ja — tak sądę! — cicho szepnęła Sylwia.

Oczy dopełniały téj na sentymentalne manowce zbaczającej rozmowy.

— Posłyszysz pani pewnie, — dodał książę, —

wiele osób zarzucających mi płochość, a jednak obwinienie to niesłuszne. Człowiek szuka diamentu, chwytą wszystkie świecące kamyki leżące na drodze, a widząc że nie są nim, coś dziwnego że je odrzuca?

— A gdyby znalazł dyament, — spytała Sylwia pocichu, trochę złośliwie, — czyby po chwili, znudzony nim, nie zapragnął w zamian choćby prostego kamyka?

To mówiąc Sylwia rzuciła wejrzenie, jak na swój wiek i wieśniactwo, pełne znaczenia i śmiałości. Książę się zadumał trochę.

— Byćby to mogło zapewne, — odparł, — ale ja bym nie lubił człowieka, któryby tak za nowością gonił, i nie uniewinniałbym go, gdyby mu zarzucano lekkomyślność.

Jakby chciał zwrócić już zdaleko zabłąkaną rozmowę, książę, z powodu bukietu stojącego na stole, zagadał coś o kwiatach. Spytał Sylwii, jakie szczególniej lubi.

— Mości książę, — odparła jakby z alluzją do przeszłej rozmowy rezolutna panienka, — ja lubię wszystkie kwiaty, ale jest wiele osób, które największe mają upodobanie w tych, których — nie ma.

— To są te same osoby, co dyamenty rzucają dla kamyków? nie prawdaż? — zapytał książę smutnie. — Czy panna szambelanówna po-

sądza mnie, że ja do tego niefortunnego należę rodzaju?

— A! uchwaj Boże! mości książę! — śmiejąc się zawołała Sylwia, — zkadżębym o nim mogła powziąć myśl taką?

— Bo są ludzie, — rzekł książę, — co nie znając mnie, liczą do tych nieszczęśliwych, znużonych, zrozpaczonych, którzy z niczego nigdy nie są kontenci. Chciałbym, abyś pani choć miała o mnie trochę lepsze wyobrażenie.

Wymówił to z uczuciem, a piękna panna odpowiedziała zcicha, naprawiając swój błąd.

— Proszę wierzyć, że ja mam o sercu księcia jak najlepsze wyobrażenie. Jest to serce rycerza i bohatera...

Nagle uczuła Sylwia, że jej rękę ścisnął książę, zręcznie bardzo tak, że nikt pewnie ruchu tego dostrzedz nie mógł, i w téjże chwili z wielkim pośpiechem, rzuciwszy wejrzenie na barona, który mu towarzyszył, pożegnał się i wyszedł.

Rozmowa przedłużona księcia z szambelanówną nie uszła niezrych oczów. Uśmiechano się złośliwie, pani hetmanowa wysunęła się do przedpokoju za wychodzącym, pogroziła mu, potrząsała głową, szepnęła coś na ucho — książę się rozśmiał, ramionami poruszył i unikając dłuższej rozprawy, wymknął się z pośpiechem.

Wojśka chociaż rozplywała się w szczęśliwo-

ści siedząc w pałacu na Górze, co miało dla niej stanowić w życiu epokę, zbyt była ścisłą obserwatorką zwyczajów, ażeby się tu nad godzinę dozwoloną mogła zatrzymać.

Skinęła więc na szambelanównę, aby pożegnała gospodynię i obie wyjechały, nowym gościom poobiednim robiąc miejsce.

Zaledwie wsiadły do powozu, gdy w uniesieniu Wojska zaczęła ścisnąć Sylwię, nie mogąc znaleźć wyrazów na uwielbienie wychowanki, która jej taki honor czyniła. Dumną była z tego dzieła, przypisując sobie całe wykształcenie tak idealnej, zachwycającej istoty.

— Zawsze miałam o tobie największe wyobrażenie, — wołała, — zawszem się spodziewała, że będziesz świetnieć w towarzystwie, ale przyznam ci się (tu głos podniosła z egzaltacją największą), takich sukcesów, takiego taktu i takiego szczęścia jakie ty masz, nie marzyłam nawet.

Książe Józef jak młodziak się w tobie zakochał... wszyscy to widzą. Vauban nie śmie nawet być zazdrosną i pada przed tobą. To czego tu żadna najznakomitsza piękność dostąpić nie mogła, ty to potrafiłaś jednem spojrzeniem... ty... miluśka czarownico!

Sylwia także trochę była dumną swym podbojem, o którym z pewnością tak dobrze wiedziała jak i Wojska, ale udala, że weń nie wierzy.

— Droga moja ciociu, — odezwała się, — co

mówisz! To tylko chwilowa ciekawość i fantazja księcia, który, jak mi sama powiedziałaś, miał ich nadto wiele w życiu, aby je na seryo brać można.

Czeżewska uśmiechnęła się szydersko.

— No! no! zobaczemy! — rzekła. — Nie potrzebuję cię nauczać, jak się z nim znajdować należy. Masz instynkt cudowny, sama będziesz wiedziała.

I uściskała ją raz jeszcze.

Nagle jakby sobie coś przypomniała Czeżewska, pociągnęła za sznurek, który stangret miał na ręku.

— Wiozą nas do domu, jak widzę, — zawołała, — a ja przyobiecала, że po obiedzie na kawie będziemy u naszego majorowój!

Sylwia spojrzała trochę zdziwiona.

— Ale koniecznie, — dodała spiesźnie Czeżewska, — musimy być u niej przez wdzięczność, przez grzeczność! To się należy pocziwój mojej Jutce, bądź co bądź, bo jej zawdzięczamy wiele, a potrzebować jej będziemy co chwila. Nie można jej chybić.

— A cóż na to powie ojciec? — szepnęła zcicha Sylwia.

— A! co tam! Pocziwy nasz szambelan ani świata ani jego wymagań nie rozumie wcale. Nie potrzeba bo mu się tak sumiennie ze wszystkiego



spowiadać! Powiemy, żeśmy byli w sklepach, albo — na przejażdżce, albo... coś się skomponuje.

Nie najlepsza to była nauka dla młodej panienki. Sylwia nie na nią nie odpowiedziała, a powóz potoczył się do mieszkania pani majorowej.

Wydało się ono ciaśnutkie i małeńkie po salonach hetmanowej, ale wytwornością swą nie ustępowało pewnie buduarowi największej pani.

Błyskotki te i cacka podobały się Sylwii, która aż zakrzyknęła z podziwu na widok saloniku, co majorowej pochlebilo.

Piękna niegdyś Jutka miała tego dnia na twarzy jakby wspomnienie przeszłości. Wdzięczek jakiś jej zwiędłe lice okraszał. Ubrana była niby po domowemu, ale z elegancją wielką i smakiem. Salonik pachniał jakąś wonią w nim rozlaną, nieznajomą i dziwną. W atmosferze jego było coś niezdrowo rozgorączkującego, podbudzającego — lecz dla Sylwii i to miało urok nowości. Czuć w tém było bujne życie, którego jej młodość nie znając pragnęła.

Sama gospośnia nadzwyczaj ożywiona, wesola, przyjmowała te panie, a szczególnie Sylwię, z przesadną, nadszakującą, natrętą gościnnością, wynajdując im miejsca, troszcząc się niepomrotnie, aby im było jak najlepiej.

Wniesiono natychmiast kawę na przepysznym

serwisie kanarkowym z saskiej porcelany, ciastka, cukierki, konfitury..

Majorowa sama biegła, pędzała swego ładnego lokaika, nalewała, rozlewała, śmiała się, chwili na miejscu nie mogąc usiedzieć.

Czeżewskiej pilno też było pochwalić się z obiadem u hetmanowej. Poczęła zaraz opowiadać o przyjęciu jakiego doznały, o księciu Józefie — (pomrugiwała oczami ku majorowej, dając jej do zrozumienia więcej daleko niż mówiła.)

— *O! ma chérie!* — odezwała się gospodyni do Sylwii. — Prawda że zawrócić głowę takiemu bałamutowi jak nasz książę, już jest niepospolitą sztuką, ale pono na sumieniu masz więcej jeszcze!

Panna raki piekła, poprzysiegając zupełną nieświadomość popełnionego grzechu.

— Możesz ty tam o tém niewiedzieć, — mówiła żywo Habakowska — ale ja coś wiem o tém! Nieszczęśliwy de Beaumont jest zachwycony, jeden z Grabowskich poprzysięgał wczoraj, że w życiu piękniejszej nie widział kobiety, a są pewnie ofiary (victimes), o których się dopiero z czasem dowiemy!

Czeżewska tryumfowała, majorowa przysiadła się do szambelanównej.

— Książę, — poczęła jej szeptać na ucho — ma najlepsze serce w świecie, ale jest trochę sukcesami zepsuty. Gdybyś go naprawdę uja-

rzmić potrafiła — co za świetne zwycięstwo! Jakkolwiek dobrze już przeszedł za trzydziestkę, co to znaczy dla mężczyzny!

Dla mnie on zawsze jest ideałem rycerza — *d'un chevalier*, to Bayard nasz!

Długo tak paplała piękna Julka, a to co się z jęj ustek sypało, niedobrze się jedno drugiego trzymało. Sylwia odpowiadała zaledwie półsłówkami, słuchała tego gwaru, napawała się nim, ogarniało ją jakieś upojenie, po za które dalej w przyszłość ani śmiała ni chciała zaglądać.

Wśród żywěj tęj rozmowy, długo do słowa niemogąca przyjsć Czeżewska, naostatek odciągnęła majorowę ku sobie i żywo jęj coś do ucha sypać poczęła.

— A! — głośno odezwała się Habąkowska — dosyć spojrzeć na tego kochanego szambelana aby go poznać i ocenić. Mój Boże! któryż ojciec jest innym? Żaden z nich nie rozumie młodości, každyby na nią rad żelazne włożyć pęta. Czas późniěj będzie pomyśleć o jakichś seryo postanowieniach.

W jęj wieku — to mówiąc wskazała na Sylwię — trzeba się bawić! kochać! bardzo kochać! Nie trwożyć się żadną przyszłością! Ona nigdy do nas nie należy, a te dni jasne i młode to cały skarb nasz!

— A! tak! tak! mimowolnie uniesiona potwierdziła Czeżewska — to jest najrozumniejsza

życia zasada! Później przychodzą nieuchronne dni smutnych rozmyślań, wspomnień, rachuby! Młodość jest tylko jedna!

— A miłość! sentyment — przerwała z zapamiętaniem majorowa. jest jedyną — co daje choć chwilę szczęścia na ziemi.

Takiemi to przedziwnemi zasadami, zaczerpniętymi z własnego doświadczenia, karmiły Sylwię dwie jej nauczycielki. Pierwszy raz, pod wpływem otwartości pani Habąkowskiej, i Wojska się ośmieliła tak jawnie wystąpić z teorią życia, której Sylwia dotąd zaledwie z półsłówki jej domyślać się mogła. Atmosfera Burzymowa nie sprzyjała podobnym aforyzmom. Ogarnął szambelanówkę niepokój jakiś, trwoga instynktowa, akby poczuła, że jej podawano truciznę, lecz tak była zasłodzoną, tak wonną!

Gdy się tak zabawiano na kawie u pani majorowej Habąkowskiej, w kamienicy na Miodowej ulicy, po skromnym obiadku z Grabskim. Szambelan zmusił gościa swojego do maryasza.

Mieczysław niechętnie biorący karty w ręce, przez litość nad osamotnionym i niespokojnym starym, musiał przystać na nudną dla niego rozrywkę.

Co chwilką szambelanowi zdawało się że córka z obiadu powraca, zrywał się za każdym zbliżającym powozem i powtarzał nieustannie że hetmanowa zadługo u siebie Sylwię zatrzymywała.

Grabski się domyślał, że z obiadu panie te już gdzieindziej pojechać musiały, ale przypuszczeniami swemi nie chciał trapić szambelana. Na nieby się też to nie zdało, gdyż nikt go słuchać nie myślał, i niczemu on zapobiedz nie mógł — Pocóż miał skarżyć!

— Rozmyśliłem się — odezwał się wśród gry zacyjny Burzymowski, rozmyśliłem się że jużciż znowu tak złego w tém nic niema, że się w towarzystwie Sylwka moja trochę potrzpiocze. To młodemu potrzebne jak woda rybie. Na wsi okrutne miała nudy, a to temperament żywy, czysta matka nieboszczka. Bez świata, bez szumu to żyć nie może. Niech się rozrusza, pośmiej, poskacze... pod okiem Czeżewskiej, jaka ona tam jest to jest, nie znowu zająć nie może.

Grabski przebaknął.

— Pani Wojska niekoniecznie mi się zdaje stworzoną na towarzyszkę osoby młodej i niedoświadczonej, bo za mało z własnego doświadczenia korzystała. Wydaje mi się dosyć płochą.

— Myślisz?? — zapytał szambelan. Hm! i ja tak sądziłem, ale, powiem ci, przekonałem się że ma gruntowne zasady. Co się zowie — pryncypia! Jestem tego pewnym!! Mówię to nie bez podstawy! Pozór tylko ma taki lekki, ale to nie więcej jak pozór, a względem Sylwii postępuje sobie z taktem wielkim i łagodnie, bo wie że z nią najlepiej sobie da rady, w dobry sposób.

Tak! — łagodna jest, miękka, ale co się tyczy pryncypiów! ho! ho!!

Grabski się nie myślał sprzeciwiać.

— Ja bo — widzisz, ciągnął dalej szambelan, ja także choć na pozór jestem łagodnym, choć niby ignoruję wiele rzeczy, ale oko mam na wszystko — nie nie ujdzie przedemną. Gdybym tylko coś niewłaściwego, niebezpiecznego przewąchał, stanąłbym okoniem! Sylwia wie że ze mną żartów niema, gdy co postanowię. Dobry jestem, ale w potrzebie — u mnie! — znaj duch!!

Czy Grabski wierzył tym przechwałkom, nie wiemy, spuścił oczy na karty, siedział zadumany, spierać się nie chciał, wiedząc że się to nie zda na nic.

Szambelan raz wpadłszy na tę materję, mówił dalej.

— Niech się Sylwia potrziocze i zabawi, niemam nic przeciwko temu! Niech się chłopcy do niej garną, aby nabyła doświadczenia jak się obchodzić z niemi. Trafi się co na seryo, zobaczymy, rozważym, czy to nam pasuje czy nie. — Nie trafi się, powrócimy do Burzymowa, a tam dla niej mam napatrzzonego jednego młodego hrabiego Cetnera, chłopca bogatego, skolligaconego, który już na nią bardzo miłém oczkiem poglądał. Partya gotowa i doskonała. Majątek co się zowie, choć może trochę odłużony, ale kto dziś

długów niema? — kasztelanie tytułik ma — co chcesz?

Zdziwiony trochę Grabski podniósł głowę. Szambelan się uśmiechał tryumfując z jego podziwienia.

— Oho! filut ja jestem lepszy niż się wam zdaje, — mówił dalej. W Warszawie jeśli Sylwka ułowi większą i tłusciejszą rybę — Vivat! dobrze! — jak nie, mam w kieszeni Cetnera.

— A panna Sylwia jak dla niego usposobiona? — zapytał Grabski.

— Nie podobał się jój, odrobineczkę ułomny, choć twarz przystojna. Naprawdę niepozorny jest i *simplex servus Dei*. Ale właśnie takiego potrzeba dla kobiety rozumnej i trochę samowolnej, to jest skłonnej do samowolności. To będzie najlepszy mąż, potulny, akomodujący się!

Cieszył się szambelan swą przezornością, przenikliwością i doskonałą rachubą. Grabski nie śmiał mu przeczyć, ani uwag czynić żadnych, bo nie przywiązywał wielkiej wagi do tych projektów starego.

Głęboko strapiony tem co się w oczach jego działo, a czemu zapobiedz nie mógł, kryć w sobie musiał i miłość, którą usiłował zwyciężyć i obawę o los dziewczęcia i ból jakiego doznawał.

Szambelan, jak wszyscy ludzie słabi, gdy nie uczynić nie mógł, wyrozumowywał sobie, że to co się działo mimo jego woli, on sam dokonał.

Wmawiał sobie najdziwaczniejsze rzeczy, uspokajając swe sumienie.

Późno wieczorem powróciły obie panie, szambelan wybiegł natychmiast, towarzysząc im z Grabskim na górę. Zobaczywszy kuzyna, którego twarz chmurna wyraziście o uczuciach świadczyła, Sylwia zarumieniła się trochę i zmieszała. Spojrzenie nań było jakby wyrzutem dla Sylwii, niepokoił ją, bo czuła że przy swym rygoryzmie, mógł mieć słuszość, a posłuchać go — nie chciała!

Wrażenia świata, z którego powracała, w takiej były sprzeczności z tem co Grabski niósł z sobą, iż szambelanówna zachwiana się czuła między temi dwoma prądami, które ją w dwóch przeciwnych ciągnęły kierunkach, ale — kości były rzucone!

Podala rękę Mieczysławowi i powitała go słowem bardzo uprzejmém, jakby mu za jego smutek zapłacić chciała.

Ojciec rozpytywał Czeżewską, która głosiła tryumfy, to się wygadując zanadto, to wycofując a starając tylko przekonać szambelana o jedném, że powinien być z wychowanej przez nią córki być dumnym, że nieumiał skarbu tego ocenić i t. p.

Zajęła tak Burzymowskiego swojemi opowiadaniem, iż Sylwia pozostała na osobności z Miciem.

Poskarżyła mu się na zmęczenie i ból głowy. Może się spodziewała, że Grabski wypytywać ją



będzie i miała zamiar pochwalenia się nieco przed nim przyjęciem u hetmanowej, ale kuzynek, radząc różne lekarstwa na migrenę, wcale się nie dowiadywał co mogło być jej przyczyną.

Sylwja po innych swych wielbicielach znalazła go impertynencko obojętnym i chłodnym. Ubodło to jej miłość własną • niewieścią. Micio wedle jej pojęcia powinien się być stale, szalenie kochać, wdychać i nie będąc kochanym służyć jej z pokorą i ofiarnością bez granic. To emancypowanie się z niewoli kuzynka, nie podobało się ślicznej pannie.

— Cóż kuzynek dziś porabiał? — zapytała.

— Byliśmy z szambelanem na obiedzie, a potem, — czekaliśmy na powrót pań... grając w marjasza.

— I ogadując nas? nieprawdaż? — zapytała Sylwja — bo ja — wiem to, nie mam szczęścia w niczem, nigdy zasłużyć na pochwały kuzyna dobrodzieja!

— Zdaje mi się też, że kochana kuzynka nie wielką wagę do mojego zdania i pochwał przywiązuje, — odparł Grabski. Sylwja spojrzała nań przymrużając piękne oczęta.

— Zawszebym jednak chciała wiedzieć co mi macie do zarzucenia — rzekła. — Nie taję się, jestem ciekawa, mówią że to należy do wad naszych, ja myślę że do przymiotów.

Mieczysław zamilkł nie dając żadnej odpowiedzi.

— Widzę — dodała Syłwja z przekąsem — iż tak dalece łaski straciłam, że nawet rozmowa ze mną przykrą ci się staje!

— Czy się to tak mówić godzi? — z wyrzutem odparł Grabski — wiesz o tem bardzo dobrze że samo nysłyszenie głosu twego jest szczęściem dla mnie. Wiedząc że to co powiem, cokolwiek hym powiedział, nie podoba ci się, wołę nie mówić nic.

— Doprawdy? — śmiejąc się przerwała Syłwja — kłóciemy się więc z sobą jak gdybyśmy się kochali. Znasz przysłowie? — kto się kocha ten się kłóci.

— Co do mnie, znajduję go najzupełniej prawdziwém, odparł Mieczysław.

— A! to kochanie! — zawołała Syłwja krzywiąc usta — ja nie wierzę w nie! takiej jakiejś chmurnej, tragicznej, kwaśnej miłości—nie lubię. Wołę wesolą i śmiejącą się.

— A tą ja, na nieszczęście służyć nie mogę! rzekł Grabski.

Czeżewska wtrąciła jakieś zapytanie i spór ten przerwała. Szambelan kazał sobie opowiadać ze szczegółami całe u pani hetmanowej przyjęcie pochlebiało mu widocznie że córkę tak honorowano. Uprzedzenia jego nikły i rozwiewały się po trosze i rad był, wdzięczny i obiecywał sobie

nazajutrz paradnie się wystroiwszy pójść z dziękczynieniem wymównem do pałacu na Górze.

O odwiedzinach u majorowej przemileżały obie panie, nadszkakiwania téż księcia Józefa nie wchodziły do sprawozdania Czeżewskiej.

Burzymowski coby się miał pogniewać za zbliżenie do Blachy, zdawał się uszczęśliwiony, powtarzać sobie kazał o przyjaźni zawartćj z hrabianką Anetą, o najdrobniejszych szczegółach obiadu, zabawy, ucałował córkę i znajdując że wypoczynku potrzebować musi, razem z Grabskim zszedł na dół w myśli udania się z nim gdzieś jeszcze na wieczerzę i kieliszek wina. Ckliło go, jak powiadał. Wyśmienity jego humor dziwnym się wydawał posepnemu Mieczysławowi, ale go psuć niczem nie myślał.

Poszli więc pod Orła na przekąskę wieczorną.

Czeżewska, która mimo że się trzymała prosto i chciała udawać młodą, cierpiała w kościach łamanie, w krótkce po odejściu tych panów, czując się zmęczoną, odeszła do swego pokoju.

Sylwja była temu rada, potrzebowała sama zostać z myślami swemi z sercem wzruszoném, z wyobraźnią rozkolysaną. Czula się jakby z chłodnej atmosfery rzuconą w ukrop jakiś, który ją parzył, przestraszał a razem nieznaną napelniał rozkoszą.

Przeszłość szeptała do nićj strachem, terazniejszość podawała rękę aby biedz po ukwieco-

něj drodze. Prowadzili oni do przepaści czy na zielone doliny Edenu??

Smutny głos Grabskiego zdawał się mówić o przepaści, wesołe szczebiotanie nowych ludzi szeptało o Edenach. Sylwia sama nie wiedziała jeszcze co z sobą i sercem swoim uczyni.

Ziściło się to czego pragnęła, weszła w świat pożądany, idealnym rycerzem wydający się jej książę był w niej niezawodnie zakochany — zajęty — wieszowano jej szczęścia, ona drżała teraz jakimś przestraczem złowieszczym.

W tych myślach, rozwiązując swe piękne włosy, szambelanówna zbliżyła się ku zwierciadłu. — Na stoliku przed niem leżał prześliczny bukiet z fiołków samych złożony, skromny, wonny, a tak piękny!

Sylwia chwyciła go niosąc do ust i twarzy, gdy zajrzawszy w głąb jego spostrzegła zaledwie dostrzeżony rożek białego papieru!

Co to być mogło? Drżącą rękę zapuściła ostrożnie między ściśnięte fiołki i za kończyk malutki wydobyła z nich, cała zarumieniona, z sercem, bijącym — bilecik!!

Dwie świece paliły się przy zwierciadle, zerwała bilet prędko i zbliżyła się do jednej z nich, chciwie czytać poczynając. Liścik pisany był po francuzku w stylu romansowym owej epoki, pełnym wykrzykników i zaklęć, patetyzmu i wy-

muszenia. Sylwji się jednak zdawało że w nićm znalazła drgające uczucie, prawdziwe, głębokie.

Był to w jěj życiu pierwszy bilecik miłośny. Czytała go, odczytywała, w oczach się jěj émiło, nasycić się nim nie mogła. Nieznany *amant* nie żądał odpowiedzi, ani żadnego *faworu*, błagał tylko aby mu gwałtowne jego uczucia, jakimi widok Sylwji go natchnął — *plómiennie*, któremi gorzał, wolno było składać u stóp najpiękniejszėj, bozkiěj Sylwji.

Miłość jego była czysta, i miała pozostać wieczną, choć bez *nadziei*!

Dla czego *nadziei* się tak wyrzekał, Sylwja zrozumieć nie mogła.

Szybko schowawszy bilet, piękna panna zadzwoniła na służącą.

Weszła jěj dawna, przywieziona z Burzymowa Maryjka, ładna dziewczeczka wiejska, która już z miastem się obeznawać zaczynała i znajdowała je wcale miłym. Ów elegant z dewizkami, którego szambelan przeszłego dnia znalazł w garderobie, mocno się do niej zalecał, i głowę jěj zawrócił swoją pańską powierzchownością a nadewszystko tém że ją w rękę całował tym czasem, gdy na wsi galanci zaczynali od szyi.

Maryjka była faworytką pani.

— Proszę cię, któż tu przyniósł ten bukiet? Jak można go było przyjmować, kiedy raz po-

wiedziano, aby nie nie brać od nieznajomych? — z pozorną surowością odezwiała się Sylwja.

— E! niechbo się panienka nie gniewa — śmiało odparła dziewczynka. — Bukiet! albo ja wiem! mogę poprzysiądz na wszystko przenajświętsze że wpadłszy tu do pokoju zastałam go leżącym przed zwierciadłem, a kto go przyniósł, Boże mnie skarz, rozstąp się ziemia podemną, nie wiem. Może Ludwika wie.

Powołano w mieście już przyjętą pannę Ludwikę, filuta dziewczynę, która weszła bardzo śmiało.

— Jakiś pan przyszedł gdy stałam na dole — odezwiała się — powiedział mi — Weź no, weź, panienka o tym bukiecie wie od kogo i gniewać się nie będzie. Jakże ja miałam go nie przyjąć! taki pachnący!

Sylwja bez gniewu i dąsania się, ale dosyć serjo oznajmiła obu pannom, żeby odtąd od osób nieznajomych nie ważyły się przyjmować żadnych bukietów. Gdy mówiła głos jej tak drżał i tyle było w niém wzruszenia, a tak mało gniewu, iż ani Maryjka, ani tém mniej Ludwika doświadczona, nie wzięły danej nauki do serca.

Wyszedłszy do sieni, miejska dziewczyna rozśmiała się.

— E! to tak one się zawsze przy pierwszym drożą, — szepnęła Maryjce — Gadanie! a żeby

jěj nie wstyd było to by mi podziękowała i dukata dała!

Sylwja odprawiwszy je obie, zarygłowała drzwi, dobyła bilecik, czytała go raz jeszcze i nie wiem ile razy, chowając, dostając znowu, przyglądając mu się na wszystkie strony. Jedną tylko osobę posądzić mogła o napisanie i tak zuchwałe nasłanie listu, jedną — lecz mogłoż to być?

Miała się poradzić Czeżewskiej i przyznać się przed nią do tego co ją spotkało, czy przed nią zataić?!

W rozmyślaniach nad temi zadaniem wielkiej wagi, piękna Sylwja, rozmarzona, nie rychło usnęła.

---

#### IV.

Karnawał, chociaż dosyć długi w tym roku, był skończony, nadszedł post, a z nim zabawy mniej głośnie u stolików, które pierwsze u siebie zaprowadziła pani hetmanowa.

Zadawano rymy, do których dorabiały się poezye francuskie czasem wcale zręcznie i pisano na kartkach pytania, a ten komu z losu wypadło, starał się na nie jak najdowcipniej odpowiedzieć. Deklamowano sceny z klasyków francuskich, i t. p.

Historya tego karnawału była tajemniczą. Mniej od wielu swych poprzedników zostawił po sobie śladów jawnych i skutków widomych; nie zaręczył się nikt, nikt nie myślał żenić, żaden dawny stosunek *intime* nie został rozerwany, na-



wet pani Sewerynowa pozostała przy wiernym, ostatnim adoratorze.

Żadna nowa *liaison* nie zawiązała się tak jawnie, aby o nią z pewnością mówić można. Szep-tano sobie wiele domysłów różnych, ale dowodów na ich poparcie brakło. Twierdzili jedni, prze-czyli drudzy, inni ramionami nie mówiąc ru-szali.

Napływ emigrantów francuskich coraz był większy, mówiono nawet nie oznaczając czasu o przybyciu królewskiej rodziny do Warszawy.

Pod Błachą szło życie zwyczajnym trybem swoim, w niczem się nie zmieniwszy; tylko ze zbliżającą się wiosną przygotowywano villegia-turę w Jabłonnę, na przyjęcie księcia Józefa i jego dworu Plenipotent księcia p. Michalowski po kilkakroć wzywany był pod Błachę; przyjeżdżał rządzca p. Hofman, oczyszczano i odświe-żano już przez zimę zabrukane i zaniedbane, pa-lac i oficyny.

Jak w trybie życia, tak w usposobieniach księcia Józefa, widocznej zmiany nie było. Zawsze to był ten sam nieco znudzony i zobojętniały po-zornie człowiek, żyjący sam w sobie, nieprzywią-zujący wagi ani do tego, co się wkoło niego kręciło, ani co się szeptało po za nim i przy nim.

Miał ten talent arystokratyczny książę, iż do-skonale umiał nie słyszeć tego o czem wiedzieć

nie chciał, nie widzieć co mu niewygodnie było zobaczyć.

Niekiedy młodszy i starsi jego przyjaciele próbowali go wprost o czémś zawiadomić, o czém mu się dowiedzieć nie podobało. Książę naówczas tak umiejętnie wyprowadzał ich w pole swą zimną krwią, iż spróbowawszy na próżno, cofali się zawstydzeni.

Jeden może przyjaciel młodości, książę de Ligne znał lepiej tego człowieka, który dla innych był miłą, wielce dystyngwowaną ale nieprzeniknioną zagadką.

Gdy chciał, nikt mu ani z oczów ani z twarzy nic nie potrafił wyczytać. Śmiał się wesoło bez ochoty do śmiechu, żartował dowcipnie, bawił się niby, dawał zabawiać, ale można było dostrzedz, kto go znał lepiej, że wszystko to, czém się najgoręcej zajmował, było mu zupełnie obojętne. Nic nie powinno było zamącić raz przyjętych, dogodnych form życia.

Książę znał z pewnością wartość ludzi, którzy go otaczali, niektórych z nich niewiele cenił, ale mu byli potrzebni dla jakiegoś rozrywki, dla zajęcia miejsca w salonie lub przy stoliku; cierpiał ich, umiając uniknąć zbytniej poufaleści.

Niektórzy utrzymywali, że delikatna pani de Vauban, tak samo, przez pewien obrachowany indyferentyzm, utrzymywała się na raz zdobytém stanowisku.

Z téj budowy życia obrachowanego na spokój i pozorne odrętwienie, nie można było wyjąć ani cegielki, boby się reszta nadwreżyła i runęła.

Czasem wspomnienie jakieś lat, w których był czynnym, o których sąd miała wydać przyszłość, jedno go jeszcze poruszało, tak że powłoka lodowa, którą się okrywał, schodziła na chwilę. Spojrzenie na medal *Miles Imperatori*, leżący na stoliku, obok innych niewkładanych nigdy oznak i pamiątek, wprawiało go w zadumę, wymówione nazwisko jakieś wywoływało żywsze uczucie malujące się na twarzy, lecz wnet siłą woli poskramiał się książę, kazał sobie zastygnać i stygnać posłuszny. Dwór poubierany w przyjacielskie mundury bawił go natenczas bajeczkami, których on słuchał z roztargnieniem, gdy mu je do kawy i fajki przynoszono.

Kto chciał w nim pochwycić drgnienie życia wewnętrznego, tak starannie pokrywanego, musiał go zobaczyć, gdy sam na sam w gabinecie rozrywał i czytał przywiezione mu z poczty dzienniki i korespondencye z zagranicy. Nie mówił nigdy publicznie o polityce, udawał dla niej obojętność największą, ale śledził obrót spraw, szczególnież we Francyi, z gorączkowym niepokojem. Zdawał się czekać na coś, czegoś spodziewać. Czasem nad gazetami znajdowano go z rozpłomienioną twarzą, z włosiem rozrzuconym, lecz zagadnięty o nowiny, mówił o nich z chłodem,

z obojętnością największą. Nie zawsze się nawet przyznawał że coś czytał... Wszystko to było mu li potrzebném wobec Hoymów i Koehlera, czy dla własnego spokoju? nikt naówczas nie śmiał odgadywać.

Sławny niegdyś jeździec, niemniej dzielny woznica, co stojąc czwórma młodemi końmi w czwał się puszczał lekkim karyklem przez Warszawę, lubił i teraz wprowadzić piękne konie, ale je rzadko dosiadywał, a liców już nigdy nie brał w rękę, zostawując je staremu Czerepińskiemu, niegdy stangretowi króla JMci, który go teraz tureckimi stadnikami na wielkie występy powoził.

W pierwszych dniach po zjawieniu się pięknej Sylwii w Warszawie, mówiono wiele acz pocichu o gwałtownej passyi, jaką w księciu wzbudziła.

Uśmiechano się szeptaając o tém, sądzono różnie, przepowiadano rozmaicie, potem jakoś to zupełnie przebrzmiało.

Panna Sylwia Burzymowska weszła w świat wielki, pozyskała w nim miejsce, bywała pod Blachą i w poufałym towarzystwie pani de Vau-ban, ale książę, przynajmniej przy obcych ludziach nie okazywał dla niej szczególnych względów, z pewną nawet obrachowaną ostrożnością jęj unikał. Panna nie przemawiała doń tak śmiało, jak w pierwszych dniach, on rzadko odzywał się do niej. Sylwia chłodno i krótko mu odpowiadała. Słowem zdawało się, że fantazya księcia

tak była nietrwałą, jak wiele innych co ją poprzedziło.

Panna Burzymowska w pierwszych początkach po ukazaniu się swém, mająca licznych adoratorów, do których rachowno dwóch francuzów, jednego z panów Grabowskich, jakiegoś jeszcze mniej znanego nazwiska panicza i podżyłego księcia, który afekt posunął był tak daleko, iż o ożenieniu przebąkiwał — umiała się ich wszystkich pozbyć chłodem, surowością i pewną dumą.

Dziwiono się téj nieczulości, a poodprawiani zwali ją, wedle ówczesnego języka „*La Cruelle*“ i znano ją pod tém nazwiskiem.

Uderzającą była zmiana, jakiej uległa zbliżwszy się do wielkiego świata ładna, wesola i śmiała wiejska dziewczeczka. Pod wpływem jego straciła swą śmiałość, naiwność, uśmiechy, z jakimi przybyła do Warszawy, stała się nienaturalnie na swój wiek poważną prawie smutną.

Nie odjęło jej to wdzięku, ale zmieniło prawie do niepoznania. W mowie była również pewną siebie i tak śmiałą, jak przedtém, lecz atmosfera tych sfer, do których tak wejść pragnęła, gdy ją raz owionęła, nie czyniła już na nią tego upajającego wrażenia, jak w dniach pierwszych po przybyciu.

Urok nowości rozwiął się prędko. Obracała się wśród tych nowych ludzi, jakby nigdy nie

żyła gdzieindziej, jak w świecie sobie właściwym, do którego była stworzoną. Można było sądzić, że po matce odziedziczyła wiedzę czy instynkt tego towarzystwa, do którego nieboszczka należała.

Wielki rozgłos jaki miała jej piękność, przebrzmiał powoli, mniej już na nią zwracano uwagi.

Szambelan, który jak widzieliśmy, miał zrazu tyle obaw i uprzedzeń, najzupełniej był z nich uleczony. Powoli zaczął wchodzić do domów, w których córka jego bywała, znalazł w nich przyjęcie grzeczne, obył się z niemi, spoufalil i pod niebiosą wszystkich wynosił.

Sam się teraz obwiniał, iż dawał ucho głupim plotkom i tak fałszywe miał o najzacniejszych w świecie ludziach i domach wyobrażenie.

— Człowiek się, mocibdzieju, uczy do śmierci, powtarzał zawsze milezącemu Grabskiemu. Z jakimi to ja tu przybyłem pojęciami, a wszystkie w łeb wzięły, gdy się człek zbliżył i rozpatrzył. Narzekalem że mnie tu Sylwia na karnawał ściągnęła, nalekalem się napróżno, a ta dziewczyna lepszy niż ja instynkt i nos miała. Nigdy w życiu przyjemniej nie spędzałem czasu i — słowo daję — najmniejszej teraz ochoty nie mam powracać do Burzymowa. — Albo i to moje niesprawiedliwe, parafiańskie uprzedzenie przeciwko tej pocziwój Wobanowój, która dla Sylwii — niech jej tam pan Bóg płaci — mogę powiedzieć, jest

drugą matką. Prawda, że francuzica wydelikacyna i grymaśna i że ma ten nieprzyjemny obyczaj, że ciągle na jakieś składki dawać każe (bo ze mnie samego, lekko biorąc, jakie pięćdziesiąt czerwonych złotych ściągnęła), ale zresztą kobieta rozumna, przyjemna, z głową i z taktem...

Szambelan był teraz zarazem tego przekonania, iż u pocziwój, czcigodnej, szanownej kasztelanowej Polanieckiej panowały śmiertelne nudy, że Sołtykowie źle bardzo robili, iż się boczyli i zimno stawili przeciw Blachy i t. p.

Jedna tylko rzecz zawadzała szambelanowi w tym świecie, to francuzczyzna. Wprawdzie dobrze się przysłuchując, trzy po trzy coś z niej chwytał, ale trafiało się często, gdy sam na dłuższy puścił się frazes, że albo w polowie utknął, albo coś takiego nieudatego sfabrykował, iż go zrozumieć nie było podobna.

Francuzi delektowali się jego mową, nie śmiali się z niej nigdy, — ludzie byli delikatni i obyczajni. Krajowcy tylko czasem zagryzali wargi i dawali znaki podziwienia.

Bywało wśród długiego wieczora, na którym francuzi liczbą przemagali, że Burzymowski chodził od jednej grupy do drugiej przysłuchując się — i nie a nie zrozumieć nie mógł.

Zmieniał pozycye — nie pomagało, wreszcie stawał zrezygnowany z rękami w tył założonemi, udawał że słucha i rozumie, uśmiechał się wi-

dząc drugich uśmiechających, trząsł głową gdzie wypadalo i powracał do domu znudzony, ale uratowawszy reputacyę.

Przed Grabskim poufnie wyraził się, iż ci francuzi co do Polski przybywali, rzeczywiście mówili jakimś językiem popsutym, a nie prawdziwą, czystą francuzczyzną. Miał to najmocniejsze przekonanie.

Lubiono go w ogóle, należał do wszystkich skladek, nie zawadzał nikomu; pito pił, jedzono jadł, humor miał łatwo się akomodujący, a temperament lagodny. Zdolności nikogo nie upokarzaly. o ludziach nigdy złego nie mówił, o nie złego ich nie posądzał, owszem, gdy zasłyszał o czémś komu uwłaczajacém, uporeczywie zawsze bronił i zastawiał się. Miał też powszechną miłość u ludzi.

Mówiono o nim:

— Dobre człeczysko!

On w ogóle o wszystkich powiadał:

— Poczciwe ludziska!

Stosunkowo, najwydatniej, po niejakiem czasie, zmieniła się może pani Wojska Czeżewska.

Po nadzwyczajnym entuzyazmie dni pierwszych dla tego wielkiego odzyskanego świata, który tak kochała, owdlałnął ją jakiś strach i niesmak razem.

Przyszło to nie nagle ani trwalo ciągle; w początkach bywały jeszcze dnie, w których była



bardzo ożywioną, potem nagle po nich następowała trwoga i niesmaki. Naostatek zachwyty i uwielbienie znikły gdzieś uiepowrotnie, a milczący strach i kwaśny humor ją zastąpił. Chodziła chmurna, niespokojna — i wielka przyjaźń dla majorowej stygnąć zaczęła.

Poznać ją było trudno tak zeszywniała, zachmurzyła się, stała się milczącą, nieznośną, a gdy usta otworzyła, gderliwą.

Nikomu to się więcéj nie przykrzyło jak szambelanowi, który lubił twarze wesole widzieć koło siebie, a był zmuszony codzien się spotykać z posępną fizygnomią rezydentki i niemniej nasępioną Grabskiego.

Starał się nawracać, ożywiać, lecz nie mógł się pochwalić, aby mu się to udawało.

— Co asindzka, — mawiał do pani Wojskiej, chodzisz jak ze środy na piątek, skrzywiona, znudzona, nieswoja. Dzięki Bogu, wszystkim się nam tu dobrze dzieje, nie trzeba grymasić.

Wojska odpowiadała na to westchieniami, zwracaniem oczu i wymuszonymi minami, które Burzymowskiego do gorszej jeszcze niecierpliwości doprowadzały.

— Z temi babami, mościbdzieju, jak się to postarzeje, a nikt się już do tego nie umizga, rady nie ma; krzywią się, stękają, ze wszystkiego niekontente, w ocet się obracają. Jeszcze która się dewocją ratuje, przynajmniej ma w niej

jakąkolwiek konsolację umi/gając się do pana Boga i imaginując że im wzajemnością się odplaca, ale te inne!! Boże odpuść!

Być bardzo mogło, że Wojska czuła się zawiedzioną w nadziejach téj roli, jaką się spodziewała odegrać na wielkim świecie.

W salonach do których wchodziła jako *Chaperon* Sylwii, jako rodzaj *Duègne* (tak ją zwano), rzadko kto chciał ją zabawiać i zbliżyć się do niej.

Trudno było długo wytrwać z nią na rozmowie pretensjonalnej a czezej. Siadywała więc osamotniona w kątku i chyba się druga taka ofiara zębów czasu znalazła, natenczas we dwie wzdychały razem i żaliły się na „świat srogi i przewrotny.“

Majorowa, przyjaciółka młodości, szczególnie jej nie dopisywała, ona wiek swój średni nosiła wesolo, małowała się, barwiła, stroiła, wieczorami ludzimi obdarzonym krótkim wzrokiem wydawała się jeszcze wcale ładną i niejeden jej prawil dusery; wreszcie będąc bardzo zajętą, nudzić się i narzekać nie miała czasu.

Stosunki z nią wprawdzie pozostały na stopie bardzo przyjaźnej, ale dwie serdeczne przyjaciółki zgodzić się nie mogły z sobą. Wojska zahukana, zagadana, osłaniała się dumnym milczeniem.

Była tak nieszczęśliwą, że nigdy a nigdy z panią Habąkowską na swoim nie mogła postawić.

Stosunki jej z ukochaną wychowanicą czasu tego karnawału także się wielce zmieniły.

Wojska Czeżewska w początkach uradowana, na wszystko zezwalała, pomagała do wszystkiego, nie sprzeciwiała się jej nigdy i w niczem. Zwolna obudzał się w niej duch opozycyi, poczęła Sylwię powstrzymywać, robić jej uwagi, trwożyć, sprzeczać się z nią.

Piękna panna miała dosyć energii, by jak ojca tak i Wojską pokonać, robić co chciała i stawić na swoim, ale czasem po całych dniach nie mawiała do siebie.

Sylwia udawała wesołą, Czeżewska siedziała pogrążona w zadumaniu, darła czarne mitenki i wzdychała. Parę razy nawet ośmieliła się Wojską ostrożnie zwrócić uwagę szambelana na to, iż Sylwia zbyt sobie śmiało poczyniała, zbyt reżolutnie na tak młodziuchną istotę — ale wiary szambelana w córkę zachwiać nie nie mogło.

— Daj bo asindzka pokój, — odpowiadał. — Ho, ho! wie ona co czyni, bo ma więcej oleju w główce niż my z asincką razem we dwoje. Na nią z zamkniętymi oczyma zdać się można, że ani omyłki ani głupstwa nie popełni.

W początkach sam się trwożyłem, ale gdym się przypatrzył, jak to tam chodzi, jak gada, jak z niemi swobodna, a het wszystkich z góry traktuje, dopierom się przekonał, że u niej więcej w małym palcu, niż u mnie tu!

I stukał się palcem w czoło pocziwy Burzymowski, ukazując jaki to u niej tam dobry zapas był.

Wojska w takich razach, zwyczajem swym, zaciskała usta, siadała boczkiem, podpierała się na łokciu, suchym palcem jednym uciskając zwiędły policzek i oblekała się majestatyczném milczeniem, tém milczeniem wymowném, pełném znaczenia, upartém, pogardliwém, które tak mocno drażni.

Nie zważano na nią w ostatku, tak że się musiała czuć osamotnioną.

— Na hypokondryę cierpi, — mruczał Burzymowski, — ale osoba zacna i pryncypia ma. Radziłem jęj pigułki doskonale, coż kiedy nie słucha.

Sylvii zmiana nie tak była znaczną, bo się raczej rozwinięciem niż metamorfozą nazwać mogła.

Zyskała ona z bardzo wielu względów na pewności i wierze w siebie, na śmiałości i dojrzałości. Może nawet posuwała zbyt daleko swobodę ruchów i czynności, więcej niż młodej panience przystało, ale z tém jęj pięknie było i z naturą zgodnie.

Twarz jęj i postawa nabyły dystynkeyi, powagi, wyraz fizyognomii z wesołego stał się bardziej melancholijnym, wzrok nabrał żywości i blasku. Oczy, które już mówić umiały gdy tu przybyła, teraz wyręczały usta, nauczywszy się wyrażać wszystko co dusza uczuła...

Obracała się wśród tego dystyngwowanego

towarzystwa jak pomiędzy swojemi, jak w domu, nie okazując najmniejszego zakłopotania, mając zawsze pogotowiu słowo trafne, odpowiedź zręczną.

Kobiety były jęj wdzięczne, gdyż nie tylko nie okazywała się zalotną, ale tych co się jej natrętnie narzucali odprawiała ostro i stanowczo. Dowcipem mogła czasem walczyć o lepszą ze sławną hrabianką Anetą; obawiano się też jęj, bo nie oszczędzała nikogo.

Pomiędzy mężczyznami miała wielu z dala stojących i nie natrętnych wielbicieli, ale wśród pań, co dziwniej, przyjaciółek więcej jeszcze. Bardzo prędko i łatwo potrafiła się wcielić w towarzystwo pod Blachą, a pani Vauban, która uchodziła za tak grymaśną podobać się tak, że za nią tęskniła.

Gościem też u nięj była codziennym prawie, a niekiedy całe dnie do późnego wieczora tam spędzała. Bywało że porzuciwszy Wojską Czeżewską w domn, jechała tam sama a pani Wojska była skazaną na kabaly, na ucieczkę do majorówęj, która bawić jęj nie miała czasu, albo na sprzecanie się z szambelanem i dąsania się na wychowanicę.

Wesola, trzpiotowata Sylwja, może skutkiem tęj ciszy i melancholii chronicznęj, które panowały u pani Vauban, spoważniała bardzo, posmutniała, do zabaw swojemu wiekowi właściwych coraz mniej okazując smaku.

Czytała wiele, Czeżewska parę razy wyszpiewowała ją piszącą, nie mogąc ani dojść ani odgadnąć co ona po całych dniach mogła tak troskliwie spisywać. — Było to dla niej drażniącą i niecierpliwiającą zagadką.

— Co ta dziewczyna tam pisze?

Czynione poszukiwania, nawet przy użyciu środków nie zupełnie legalnych, nie odkryć nie dozwolily.

Dla szambelana a może i dla Sylwii trochę, Grabski codzień prawie przychodził, czasem tu przesiadywał dłużej, niekiedy się z kuzynką spotkał.

Nie dopuszczała mu jednak nigdy rozpocząć z sobą rozmowy o rzeczach dotyczących się spraw obecnych, odpychała od zbytnej poufności.

Wejrzenie śmiałe Grabskiego, badawczy wzrok, którym czasem rzucił na nią, mieszał ją i niepokoił.

Spotkawszy te oczy, które zdawały się czytać w jej duszy, odwracała się natychmiast i znajdowała jakąś pilną czynność, która jej pomieszanie ukryć pomagała.

Nawzajem spoglądała nań ukradkiem, niemal z obawą jakąś, jakby się lękała aby jej myśli nie odgadł.

Raz czy dwa znaleźli się sam na sam. Grabski chłodny i obserwujący, ona poruszona i niespokojna. — Micio raz ośmielił się jej uczynić uwagę, jak ona mocno się zmieniła od przyjazdu do Warszawy.

— Ja? zmieniłam się? — odparła Sylwia, — czysta imaginacya! Ja się nie zmieniam i nie zmienię nigdy, to nie jest w mojej naturze. Jestem czém byłam, nie poczuwam się i nie przyznaję do najmniejszej odmiany.

— Ale dla nas ona jest widoczną, — rzekł Grabski.

Sylwia śmiało zbliżyła się do niego, znając moc jaką nad nim miała, bo ta ją nigdy nie zawiodła i — rzekła.

— Proszę mi powiedzieć, jak i w czém się ja zmieniłam?

— Daje się to lepiej neznć niż określić — odparł Grabski. — Towarzystwo w którym kuzynka teraz całe dnie spędza, podziało na nią, — rzecz bardzo naturalna. Musiało się to odbić na pannie Sylwii.

— Więc chyba zyskać na tém musiałam, bo to jest niezaprzeczenie towarzystwo najlepsze, jakie być może — spytała szambelanówna.

— Zapewne, najlepsze ale nie nasze... rzekł Grabski. — Przybyłaś tu, kochana kuzynko, wesolą wychowanką wsi naszój, a pod Błachą zrobili z ciebie czarującą francuzeczkę.

Sylwia potrząsnęła głową.

— Ja nawzajem, kochanemu kuzynowi, powiedzieć muszę, — odezwała się — że ty! niestety, nie zmieniłeś się wcale. Jak prawileś kazania dawniej, tak i dziś w nich masz upodobanie. Ja

zaś gdy mam ochotę ich słuchać, wolę pójść do kościoła.

Mieczysław uklonił się i zamilkł.

Ile razy tak przycięła mu i dotknęła go ostrzej Sylwia, wprędce potem żal ją brał, starała mu się to nagrodzić, stawiała się miłszą, a Grabski nie obrażał się nigdy. On jeden był w domu do którego zdania przywiązywała jakąś wagę, chociaż go nie słuchała. Zdawała się go obawiać patrzyła nań niespokojna, a gdy milczał uparcie, wyzywała półsłówkami.

Tak się tedy ciągnęło dalej a dalej ku wiosnie, a o wyjeździe z Warszawy wcale jakoś mowy nie było.

Szambelan przypominał tu sobie dawne czasy wynajdywał coraz dawnych znajomych, bawił się w swoim kółku przedziwnie i według zasad swjej polityki, do domu pisując ciągle iż powraca lada dzień (aby się służba co chwila spodziewając nie zaniedbywała) w rzeczy samej nie wiedział kiedy i jak ztąd wyruszy.

Dwa razy już musiał sobie kazać przysyłać pieniędzy, wziętych naprzód z dochodów majątku. Grosz leciał jak opętany, trzos się wypróżniał nim się szambelan opatrzył, że zabraknąć w nim może.

Gdy się stawał lżejszym, a w ostatku resztki z niego do sakiewki wysypywać musiał, ruszał ramionami, zaglądał do rejestrzyków, i pojąć nie mógł własnej rozrzutności.



Dla córki niesposób było żałować, a wielki świat na którym się obracała, kosztował ogromnie. Sylwia musiała występować modnie i świeżo, szczególnie na bale, assamble i t. p. suknie dwa razy jedne nie służyły. Burzymowski wzdychał i płacił, płacił i wzdychał. — Jego własne utrzymanie oszczędne, ile razy sam był, wyciągało mu wydatki gdy się znalazł w kompanii rozpasanej młodzieży. — Skąpiąc dla siebie, na przyjęcia i postawienie się, jak to dawniej zwano, nie żałował ostatniego grosza. — Ba! zdjął by był koszulę.

Kurczył się obliczając z groszem, ale, koniec końcem, dla jedynego dziecięcia, czego się to nie robi!

Miał szambelan niepłonną, jak mu się zdawało, nadzieję, że przy takich Sylwii sukcesach, szczególnie wejściu w świat wielki, przy jej wdziaku, rozumie, reputacyi majątniej jedynaczki, znajdzie konkurenta — co się zowie. Czekał, dowiadywał się, patrzył, dziwił i nie mógł pojąć dla czego nie było go — a! nie było! Przechodziło to wszelkie pojęcie Burzymowskiego i plątało jego rachuby. — Miał żeby być zmuszonym powracać z nią do owego odrobinę ułomnego hrabiego??

Jednego dnia sam na sam znalazłszy się z córką, szambelan postanowił się z nią rozmówić w tym przedmiocie, i zasięgnąć języka.

— Wiesz, moja ty najdroższa Sylfido (czasem ją w ten sposób spieszczał) — wiesz, że ja obser-

wuję, przysłuchuję się, patrzę, czekam, a coś konkurenta dla ciebie nie widzę.

Nie najgorzej by było o tém pomyśleć przy takiej dobrej zręczności. A, może tam co napiętego masz? przyznaj no się?

Sylwia zmieszana, ruszyła ramionami, zrobiła minkę niezrozumiałą.

— Ale, nie ma nic! — rzekła krótko.

— To źle! źle!--odparł szambelan. — Koniec końców jakież cel? trzeba za mąż pójść! Na toście stworzone. Rachowałem na to że moją Sylfidę tu z jaką mitrą zaswatam. He?? Czy nie zanadto jesteś dumna, a za mało angażująca.— Może wybredna? Co? Mów bo ze mną otwarcie, jak z ojcem należy.

— Co to tatko o tém myśli! — odezwała się córka niechętnie — czyż na to nie mamy dość czasu? Co pilnego?

— Zapewne! juściż mnie się cię pozbyć nie pilno! — rzekł Burzymowski — ale gdzież na zwierzynę polować jeśli nie w lesie?— (Rozśmiał się sam rad z trafnego porównania.)—Gdybyś tu kogo złapała, ja nie byłbym od tego... Na wsi, dokąd w końcu trzeba będzie kiedyś powrócić, (bo trudno całe życie siedzieć w Warszawie) jeden tylko Cetner, co tak niby dla ciebie się kwalifikuje—a tu! jest w czém wybierać!!

— Można by do prawdy sądzić że ja jestem

ciężarem, i że się mnie tatko chce pozbyć! smutnie odparła Sylwia.

— Nie pleć że! — ofuknął obrażony szambelan.—Chcę twego szczęścia nie więcej. — Córką go w ramię pocałowała.

— Pozwól że mi go szukać sobie samój, — rzekła cicho — a nie naglij! Nie idzie mi tak bardzo o wydanie się za mąż, zawsze się ktoś znajdzie co tę biedną Sylwią weźmie — a swoboda mi droga

— Hm. Jakby to rozumna taka jak ty kobieta—i po ślubie swobody mieć nie mogła.

Juściż że ty męża za nos będziesz wodziła, to nie ulega wątpliwości.

Rozśmiała się Sylwia, ale smutnie.

— Widzisz, tatku, — odezwala się, — takiego którego bym za nos wodzić mogła, ja nie chcę, a takiego co by chciał mną rządzić — nie wezmę.

— Otóż widzisz, dilemma, czyli inaczej mówiąc, alternatywa, jaką stawisz — nie do wybrnięcia z niej. Tu sęk! odpowiedział dobrodusznie Burzymowski. Jak świat światem republiki w małżeństwie nie bywało nigdy — monarchiczne rządy zawsze, albo król albo królowa.

Wybieraj kogo chcesz,—ciągnął dalej Burzymowski,—mam w tobie wiarę zupełną że z tego wyboru nie zrobisz—byle nie francuza! obliguję, nie francuza! Choćby dukiem był czy markizem, czy jak się tam oni tytułują, ja ich nie chcę...

Mówią tylko tym kobyliim językiem którego ja dobrze nie rozumiem, a nadęte to i — finalnie, gole. Koszule im trzeba sprawiać i jeszcze ci pod nos..... Ze się prezentują, pięknie, ani słowa, ale co mi z tego na dzień powszedni? kat ich bierz...

— Możesz być tatko, spokojny — uśmiechnęła się Sylwia — francuza żadnego podbijać nie myślę.

— Ditto, niemca — dodał Burzymowski! z temi to już w jednym domu żyć nie można! *Quod deus avertat!* Żebyśmy się z nimi brać mieli, byłby koniec świata.

Sylwia upewniła z kolei ojca że Niemiec i jej się nie możliwym wydawał. Szambelan dodał jeszcze parę ostrzeżeń i excepcji, — na tém się skończyło.

— Dziewczyna dumna, — rzekł sobie w duchu Burzymowski — będzie przebierać jak w ulegalkach, i powrócimy na wieś do mojego hrabiego... Byle się ten nie zaswatał! Ale — cóż tam już robić, byle jej z tém dobrze było — choćby do trzydziestki zwłóczyła!

Ku końcowi karnawału, Czeżewska raz przez dwa dni z rzędu została w domu zapomnianą Sylwia jeździła i wracała sama, pod różnemi pozorami

Drugiego dnia ku wieczorowi zniecierpliwiona pieszo pobiegła do majorowej Wojska, nie bawiła tam długo, wróciła niezmiernie zburzona i siadła

w salce, sparłszy się melancholicznie na rękę, w nadziei że Burzymowski nadejdzie.

Stało się iż w istocie, po obiadku postnym, *solo*, szambelan dowiedziawszy się od Zybka, że Wojska sama była na górze, przyszedł do niej na gawędę. Bo choć z kobietami nie lubił rozmowy, ale gdy nikogo nie było, oprócz Zybka!

— A cóż to tak asindzka siedzisz *solo basso*, osierocona? — zapytał wchodząc.

— Widzisz pan!! — odrzekła wstając głosem pełnym wzruszenia Czeżewska. — Widzisz pan! Do czego to przyszło!! Niech mi pan szambelan daruje, ale co nadto to nadto, swobody pannie dajesz za wiele!

— O! o! o! — powoli począł Burzymowski. Cóż się to stało nowego? Gniewy jakieś? dąsy? Na miły Bóg! he?

— Nie wiem czy się co stało, — odrzekła Wojska z przyciskiem, zbliżając się do Burzymowskiego, który się trochę cofnął, gdyż zapachu ambry, którym Czeżewska zawsze była nasyconą, nie cierpiał. — Nie wiem czy się co stało, ale że się stać może, to pewna! Otóż ja zawczasu zawarowuję sobie, że za nic odpowiedziałną nie jestem i być nie chcę!..

Stanowcza ta, piorunowa protestacya Wojskiej tak silnie uderzyła szambelana, że niemal osłupiał.

— Nie rozumiem, — rzekł po chwili, — za co pani nie jesteś i nie chcesz być odpowiedzialną?..

Wojska już ochłonawszy nieco po pierwszym wybuchu, zmieszała się. Poczula że zaszła może zadaleko.

— Widzi pan, panna Sylwia jeździ sobie sama dokąd chce, nie mówiąc mi nawet miejsca do którego się udaje, bawi, powraca, robi co się jej podoba. Pan na to pozwalasz, niechże sobie będzie co chce... ja ręce umyвам! Umyвам!..

— Ależ moja pani Wojska, zreflektujże się, jakież jej może grozić niebezpieczeństwo? — zapytał Burzymowski, — między osobami tak dystyngwowanemi?..

Wojska ruszyła ramionami.

— Przepraszam pana szambelana, — poczęła znowu się nieco zapalając, — pan jesteś, doprawdy, dobroduszny i naiwny jak dziecko. W najdystyngwowańszym świecie, na królewskich dworach, trafiają się pannom nieopatrznyim nieprzyjemne — wypadki. Mężczyźni nie mają sumienia...

Burzymowski zbladł jak ściana.

— Cóż to? czy pani masz jakie poszlaki? Co to ma znaczyć? — zawołał groźnie, — mów pani! mów pani!

Czeżewska ulękła się, zmiarkowała iż już po raz drugi zadaleko się posunęła. Wypadało się cofnąć.

— Ja mówię ogólnie o tém co się na świe-

cie dzieje, — poprawiła się. — Panna Sylwia nie jest wyjątkiem, nie ma doświadczenia.

— Przepraszam panią! — zagrmiał Burzymowski uniesiony, — Sylwka jest wyjątkiem... Tak! — powtórzył głos podnosząc i rozpalając się coraz, — tak! Sylwka jest wyjątkiem!

A, to proszę! — dodał ciągle gniewny, — pani ją tak sądzisz rychtyk jak garderobianę, którą trzeba pilnować, aby nie padła ofiarą kredence-rza! Co bo to za wyobrażenie! No proszę! Słowo daję!..

Szambelan zwykle dobry jak baranek — kipiał.

Czeżewskiej nie pozostawało nic, tylko chustkę do oczów przyłożyć i lzy ocierać, których przyjścia lada chwilę się spodziewała.

Wiedziała, iż w takim razie szambelan rozbrojony, natychmiast przepraszał.

I tym razem chustkę zobaczywszy pospieszył z przeblaganiem Burzymowski, biorąc ją za rękę którą mu wrywała, i całując.

— Proszę mi wybaczyć jeśli się za ostro wyraził, — rzekł, — nie miałem intencji obrażenia pani. Słowo daję!

— Przecież pan to rozumiesz, — płaczliwie odezwiała się Czeżewska, — że ja to mówię z przywiązania do Sylwki, przez miłość dla ich domu!

— Ale dobrze, dobrze! rozumiem! nie płacz już asindzka, — wołał szambelan, — dajmy temu pokój... nie mówmy o tém. Dosyć. Sylwki swo-

body nie mogę ograniczać, widzisz asindźka, bo-  
bym jój okazał nieufność. Nie mam też o nią  
obawy żadnej! Dziewczyna rozumna, któraby  
mnie i asindźkę poprowadziła lepiej niż my ją  
we dwoje. Dajmy jój pokój!

Gdy się Wojska nieco uspokoiła, Burzymow-  
ski dodał cicho.

— Między nami, czy asindźka masz jakie po-  
wody domysławiania się, posądzania, że tam — co —  
jakiś romansik jest, czy co podobnego?..

Wojska długo stała w niepewności, z oczyma  
spuszczonemi, namyślając się co ma odpowie-  
dzieć.

— Mów asindźka otwarcie, — dodał Burzy-  
mowski.

Czeżewska głową dała znak potakujący i zdzi-  
wiła się, gdy ujrzała na twarzy szambelana za-  
miast gniewu, którego się spodziewała, ukonten-  
towanie.

Zacierał ręce z radości i zbliżył się o ambrze  
zapomniawszy.

— Mogę ja wiedzieć co to jest? — zapytał.

— Ponieważ to są tylko domysły, ze wszech  
względów nie wypada mi ich — wyjawiać, — rze-  
kła cedząc przez zęby Czeżewska. — Słowo daję,  
nie mogę nic powiedzieć!

— Ale coś tedy jest! coś jest! a Sylwka  
przedemną ani pisnęła! — zawołał Burzymowski  
z miną nadzwyczaj wesołą. — Widać że pewnego



jeszcze nie ma nic!.. Mniejsza o to, — dodał po krótkim namyśle. — Jestem pewny, że jeśli uczyni wybór, to dobry, a sprawę rozpoczętą potrafi poprowadzić. Zatem, moja Wojska — sza!..

Zdziwiona tém zakończeniem Czeżewska umilkła.

— Asindzka, — mówił dalej szambelan ze spokojem wielkim. — Asindzka bądź tak pewną jak ja, że ta dziewczyna sobie rady da! Nic jěj nie grozi! chyba temu kto jěj w ręce popadnie. To druga nieboszczka matka jěj, świeć Panie nad jěj duszą, a tę ja znałem dobrze... Kubek w kubek!..

To mówiąc śmiać się począł raźnie, przeszedł się po salce podrzucając nogami, zatarł włosy i z rodzajem politowania popatrzał na Czeżewską, która darła już swe mitenki, słowa się nie odzywając.

— Nie chcesz mi asindzka wyjawić tajemnicy, — dodał wesoło, — nie nalegam. Dość mi na tém, że bystre jěj oko poszlaki pewne znalazło! Mądrój głowie dość na słowie! Cieszyłbym się, cieszył!

Tak się rozeszli, a Burzymowski na dół do swych izdebek się spuściwszy, w godzinę może doczekał się wiernego Grabskiego. Nie miał nic pilniejszego nad wypowiedanie mu się ze swój dramatycznój z Wojską rozmowy, wyśmiewając co wlażło, jěj obawy nierozsądne.

Pewnym był, że Micio podzielać będzie jego sposób zapatrywania się na postępowanie Sylwii, i zdziwił się trochę, widząc go zasępionym.

— Cóż ty na to? — zapytał.

— Zdaje mi się, — odparł Grabski, — że Czeżewska, której ja wcale nie jestem admiratorem, na ten raz miała słuszość.

— Oszalałeś czy co! — ofuknął go Burzymowski. — Baba obrażona sama nie wie co plecie. Ty zaś, poprostu jesteś chyba zazdrosny. He? przyznaj się!

To mówiąc uściskał go zanosząc się od śmiechu.

— Ja, ty, Czeżewska! — zawołał unosząc się szambelan, — co my jesteśmy przy Syłwii!.. To rozum, to takt, to mocibdzieju powaga i majestat we wszystkiem! Kłękajcie narody! Nie śmiesznież to, abyśmy my, mizeraki jakieś, brali ją w opiekę, ją, któraby nas wszystkich w kaszy zjadła!..

I śmiał się a śmiał się serdecznie, Grabski zaś popatrzał nań długo zdumiony jak Czeżewska i długo pozostał niemy.

— Szambelanie, — rzekł w końcu, — ja także jestem wielkim Sylwii wielbicielem, o tem ci mówić nie potrzebuję, zważ jednak, że ona nie ma doświadczenia, że jak każda istota szlachetna, daje wiarę ludziom, na fałszywych sentymentach poznać się nie potrafi — a na wielkim świecie nie sami aniołowie.

— Kochany mój Miciu! — zawołał ściskając go szambelan. — Roją ci się niebezpieczeństwa! Sylwia nie potrzebuje doświadczenia, bo ma instynkt nieomylny, przedziwny. To istota wyższa, jak była jej matka! Dajmy my sobie pokój! my jej, po kolana! mocibdzieju! po kolana!

Grabski zagadał już o czém inném, i — usiedli do maryasza

## V.

Przed dawnym pałacem Teppera przy Miodowej ulicy, jednego z ostatnich wieczorów karnawału, paliły się dwie latarki z knotami obrosłymi. Tłum chłopaków i ciekawej gawiedzi oblegał drzwi, powozy zajeżdżały co chwilę, muzykę słyszać było na górze.

Dnia tego, dawny metr tańców i baletmistrz królewski, JWPan Ledoux ogłosił Cassino.

Wieczór w kassynie p. Ledoux nie był w niczem podobny do innych zgromadzeń po domach prywatnych. Tu najwyższe towarzystwo — *Societa* — miało przyjemność ocierać się i przypatrywać klasie średniej, mieszczaństwu i w ogóle wszelkiemu stworzeniu, które miało sześć złotych do wydania i strój na salę przyzwoity.

Zwało się to w salonach, z francuzka *s'encanailler un peu*.

Pan Ledoux o missyi swojego kassyna mający wysokie przekonanie, powtarzał to często i głośno, że dwa tylko wielkie domy otwarte miała Warszawa — Blachę i kassyno Ledoux!

Kassyno łączyło w sobie wszystkie ówczesne zaludniające Warszawę narodowości, bo tu nawet Niemców spotykać było można, którzy jedyną prawie mieli sposobność przypatrzenia się na niem, polsko-francuzkiej społeczności.

Niedaleko od wnijscia na salę, można było, kupując bilety, mieć szczęście oglądać samego baletmistrza, który wart był istotnie, aby go za biletami pokazywano.

Jak wielu innych cudzoziemców, przybył on niegdyś do Polski przejęty ważnością swęj missyi cywilizatorskiej. Wiedział, że jedzie do barbarzyńskiej ziemi, kędy taniec był bez metody, nogi bez wykształcenia, skok wielkiej szkoły ignorowany, — czuł, że wiezie z sobą smak, piękność, przyszłych pokoleń gracyę, i że mu należy pewny rodzaj panowania w Rzeczpospolitej, której być miał dobroczyńcą.

Długie lata upłynęły od tęg chwili, zacny Ledoux zachował statecznie przekonanie, iż położył tu pierwsze fundamenta lepszęj przyszłości.

Z jego szkoły wyszły te panie, które z nieporównanym wdziękiem tańczyły wśród ogólnych okłasków tamburyno, szal, menueta i tym podobne popisowe sztuki.

Sumienie mówiło mu iż miał znakomite w kraju zasługi.

Malowało się to poszanowanie siebie, dobitnie w całej już zestarzałego baletmistrza postaci.

Stał teraz na uboczu wystrojony, w peruczce nntrefionej starannie, z żabotem fantastycznym na piersiach, nogi w pierwszej pozycyi, ze złotej tabakiereczki czerpiąc delikatnie hiszpankę i ręką nawet chudym nadając wdzięk, bo każdy palec inaczej był zaokrąglony.

Patrzył na cisnącą się publikę tryumfująco. — Kassyno było dziełem jego!

Na twarzy wygolonej do włoska, szerokimi fałdami poprzecinananej, widać było spokojne sumienie człowieka, którego missya duchowa pogodzić się dała ze sprawą kieszoni, czującego że obowiązki swe spełnił, a kabzę ma nabitą.

Niekiedy ktoś z wchodzących skinieniem głowy pozdrawiał pana Ledoux, naówczas Francuz, który tu wszystkich znał, a położenie każdego ocenić umiał, mierzył odpowiedź swą na powitanie wedle stopnia wartości człowieka. Niektórym z nśmiechem wdzięcznym kłaniał się do ziemi, rękę spuszczać; innych pozdrawiał grzecznie, ale niezbyt uniżenie, niektórych witał skinieniem głowy, a na wielu udawał nawet że nie patrzy, aby się ich znajomością nie kompromitować.

Dnia tego spodziewał się pan Ledoux wielkiego napływu ze wszystkich obozów, bo wy-

brał szczęśliwą datę, gdy ani pod Blachą, ni na Górze, ani pod Filarami, ani nigdzie indziej przyjęcia nie było; Bogusławski zaś i pani Delicati, nie śmiejąc się z nim mierzyć, musieli mu ustąpić...

Kassyno dla wszystkich było miłe i pociągające, każdy rad się tu przypatrywał, jak też inne warstwy społeczeństwa wyglądają. — Napływ sześćdziesięciu złotych był pożądanym, kassa się napelniała, powozy turkotały nieustannie i w salach robiło się coraz gwarniej.

Oprócz sali do tańców, gabinetów dla spoczynku, bufetów nieodzownych dla wielkiej zawsze ilości spragnionych i głodnych; w jednym pokoju przygotowane były stoliki do gry, gdyż namiętność do niej, tak nadzwyczajna za Stanisława Augusta, wcale nie była ostygła, zdawała się wzrastać jeszcze.

Grywano wszędzie, ciągniono Bank u księcia pod Blachą, i w Jabłonnę. Lubila bardzo grać pani Tyszkiewiczowa i inne damy, całe wieczory niekiedy schodziły na tę kosztowną rozrywkę. I przy kassynie, gdzie tyle osób tańczyć nie mogło, bez kart się nie obchodziło.

Widok głównej sali, mimo dumy pana Ledoux, który się urządzeniem tego przyjęcia szczycił, wcale nie był wspaniały, ani zachwycający. Prawdę rzekłszy, oświecały ją świece łojowe, rurkowe, po dwie pooprawiane przy rodzaju lu-

sterek umieszczonych na ścianach. Do koła stojące ławki i krzesła dosyć już wytartym, zmiełym i poplamionym kazimirkiem były pookrywane. Wieczorem barwa tego okrycia nie dawała się już ściśle oznaczyć.

Nigdzie też zbytku ani elegancyi dostrzedz nie było można, chyba w strojach pięknych dam, które nawet na kassyno występowały bardzo elegancko.

Zbierało się na ścisk wielki, bo choć jeszcze dość było wczesnie, sale się już wypełniały i przybyli grupowali się wedle rozmaitych praw powinowactwa.

Zaszczycił na chwilę bytnością swą kassyno pan gubernator Koehler, około którego bliżej i dalej, dosyć się już osób, mężczyzn i dam ustawiło. Była to postać sympatyczna, jeden z tych dobrodusznych Niemców starego pokroju, który człowiekiem być umiał i pojął swe posłannictwo w kraju — jako zesłany dla łagodzenia i przejeżdżania.

Jeden on ze wszystkich urzędników zostawił po sobie imię szanowane, pamięć zacności charakteru i dobroci.

Widać też było z obejścia się podchodzących ku niemu osób różnego stanu i wieku, iż wszystkim był miły i dla wszystkich uprzejmym być umiał. Witano go z uśmiechem, nie sztywniał nikt na widok jego, nie zawadzał nikomu.



Francuzkie i polskie towarzystwo napływało coraz gromadniej; panie w sukniach jasnych z krótkimi stanikami, panowie w pończochach i trzewikach, długich frakach, z krótko poodstrzyganymi włosami lub w peruczках fryzowanych, z kapelusikami pod pachą.

Kilku pruskich wojskowych stało na uboczu, kilka kontuszów polskich tuliło się po kątach. Dam w podeszłym wieku było mało, a kwitnących młodością i wdziękami nieprzeliczone mnóstwo. — Poufalszy, swobodniejszy ton panował w kassynie niż na innych zebraniach w domach prywatnych, młodzież zwijała się ochoczo przygotowując do tańca, a choć i tu dzieliły się od siebie warstwy społeczeństwa, samo ocieranie się ich i swobodne rozglądanie dodawało im życia.

W chwili gdy osób już było dosyć wiele, we drzwiach ukazała się postać dziewczęcia w lekkiej sukni przejrzystej, narzuconej na drugą, cięższą, z włosami misternie utrefionemi, wachlarzem w ręku i szalem...

Była to Sylwia, na której widok damy się zaczęły uśmiechać, a mężczyźni szeptać między sobą. Niektórzy zdawali się zapytywać o nią, a drudzy im ją ukazując, opowiadali żywo i weselo...

Zajęcie nią było powszechne, oczów mnóstwo śledziło jej ruchy.

Szła poważna, zamyślona, obojętna, z pańskim

jakimś majestatem i lekceważeniem tłumu, nie racząc prawie podnieść nań pięknych oczów, jakąś mgłą smutku czy szczęścia przysłonionych. Za nią postępowała wyfiokowana nadzwyczajnie, wonią ambry jak atmosferą otoczona, pani Wojska Czczeńska, wykrygowana, usznurowana, z oczyma nieco przynurzonemi, na głowie niosąc włosy chyba nie swoje, w których tkwiły najrozmaitsze ozdoby, świecidła i pióra.

W ślad za panią Czczeńską postępował w całej chwale swój, w garniturze paradnym, odświeżonym i z plam oczyszczonym szambelan. Ale tego zaraz od progu pochwycili znajomi, i z jednych objęć przyjacielskich podając w drugie, natychmiast go od Sylwii z jej towarzyszką oderwali. Cieszyło go iż tylu dla siebie znalazł życzliwych. Wyciągały się doń dłonie, dolatywały go z dala wyrazy, a szambelan rozpromieniony odpowiadał urozmaicając formuły:

— Do nóg upadam.

— Do nóżek się ścielę!

— Stopki caluję.

— Uniżony...

— *Servus* i t. p.

Był tego dnia w usposobieniu różowém jak rzadko, widział, iż całą sobie podbił Warszawę, i w czasie stosunkowo krótkiego pobytu mógł się już uważać jak w domu.

Sylwia znikła zaraz w bukiecie pięknych pań,

które na nią czekały i otoczyły. Barzymowski od jednego do drugiego przechodząc, łapany, odwoływany, zatrzymywany, zupełnie się obłąkał.

Nie dostrzegł nawet opodal nieco stojącego pod oknami Grabskiego, który osobno przybył wprzód niż oni, choć zwykle na kassynach nie bywał.

Można było posądzić, że go tu wiodła chęć widzenia choć zdala pięknej Sylwii. Stał w cieńnię i od wnijscia ję na salę, oczów od nię nie odrywał.

Sylwia weale go nawet nie postrzegła, on śledził z zajęciem widoczném każdy ję ruch, uśmiech każdy, wejrzenie, mieniący się dziwnie, a zawsze smętny wyraz ję twarzycki. Zdawało się że chciał odgadnąć co się działo w ję duszy, jakie myśli krążyły pod tém czołem białém — czy była szczęśliwą? czy?

Mówił w sobie Mieczysław:

— Biedna istota! Przyleciała tu szukając szczęścia, a na czole ję widzę obłok który nie zekodzi nigdy. — Oslania się tajemnicą! zmieniona! niespokojna! Co dla nię gotuje przyszłość?

I myślał potém jak ją wyrwać z tych prądów, z tego wirn, który ją unosił na skały. — Środka nie widział.

Kochać tak z daleka, — patrzeć bezsilnemu na niebezpieczeństwo tego co się miłuje, niemódz ust otworzyć, podać ręki! co za męka!

Sylwia nie wiedziała może o nim, ale obiegając salę oczyma roztargnionemi, nie postrzegła go i teraz — nie szukała. Obojętnie tak parę razy wzrok jój pobłądził po sali, prawie się nie zatrzymując na nikim i wrócił do bliższych osób. Stała nie zdając się ani bawić, ani ciekawić w tym tłoku, choć inne panie szeptały, śmiały się, pokazywały sobie różne przesuwające się postacie.

Czeżewska przyglądała się przez szkiełka publicy, chcąc jój dać poznać nadewszystko że przecież była czémś lepszym nad nią.

Ponieważ tańce się już zaczynać miały, panie, które nie życzyły sobie brać w nich udziału chyba późnziej, ustąpiły ku ławkom i krzesłom, miejsca na nich zajmując. Sylwia znalazła się przy samych drzwiach do drugiej sali, zasłonięta niemi. Na progu stali mężczyźni, których widzieć nie mogła, ani oni jój... Nim muzyka grać zaczęła, mimowolnie posłyszala rozmowę panów stojących w progu. — Nie domyślali się oni że mogą być podsłuchanymi, albo to sobie lekceważyli.

Była to młodzież ochocza, hulaszczą, która o téj dnia godzinie nigdy w złym humorze nie bywała — a tym razem wstawiała właśnie od zbyt przedłużonego szampanem, który w modę wchodził, i burgundem który był w modzie, obiadu.

— Słuchaj Władek, mówił jeden, patrzajno tam, w lewo, pod trzeciem oknem, suknia biała,

we włosach granat pąsowy, na szyjce kanak złoty. Widzisz ty ją? Co to za twarzyczka śliczniuchna! co za oczy palające, jaka postawa pieszczotliwa i do pieszczot stworzona!

— Któż to taki?

— Nieznasz jój?

— Pierwszy raz widzę...

— Toć przecie dziś pani koniuszyna..... owa... niepomnę już nazwiska. Wydano ją, czy wydała się za kogoś majątnego. Mąż, niewiem co za jeden, ale o to mniejsza. Ona zaś, jakto żebyś nie znał, nie wiedział, nie słyszał? przecie to owa sławna Handzia, w której się książę Józef szalenie kochał przez trzy lata całe. Mieszkała wówczas we dworku, który książę dla niej kupił umyślnie. Mówią że to była prosta sobie dziewczyna, ani czytać ni pisać nieumiejąca, ale cud piękności, a nawet naturalnego dowcipu i sprytu... Książę szalał za nią i kochał się jak w wielkiej pani. Nim się nauczyła ręce umywać dla niego, całował brudne paluszki. Ile razy wynosił się do Jabłonnój, jechała za nim. — Ale — znasz kochanego Pepi naszego, o ile zapalczywy w miłości, o tyle bałamut. — Zaczęła go wówczas kokietować ta Czo..... i Handzię dla niej zaniedbał. Szcześciem jeszcze że o jój losie pamiętał, a dobrze wydał za męża. Córeczkę ma śliczną jak aniołek — ha! ale i sama jeszcze ładna! a! ładna bestyjka! Co przy niej wszystkie na-

sze panie wymokłe, uwiedle, namaszczone i umalowane...

— Ale, ba! Księżę ho ma gust dobry co się zowie — rzekł drugi — terazniejsza jego passya — piękna jak królowa. — Widziałeś przecie Burzymowskę?

— A któż jej niewidział! — odparł pierwszy — Tylko ta różnica podobno w tej passyi księcia od innych, że więcej się Burzymowska w nim, niżeli on w niej kocha. Powiadają że unika.

— Księżę uczciwym i szlachetnym jest — przerwał głos drugi, choć mu się narzuca, choć rzeczywiście bardzo nią zajęty — ale...

Tu muzyka zagrała... słyhać było szmer tylko niewyraźny. Mężczyźni stojący podedrzwiami śmiali się i szeptali... Kiedy niekiedy pochwycić było można dobitniej wymówione nazwiska majorowej Habąkowskięj, pani Vauban i t. p. W przestanku jakimś jeden z rozmawiających odezwał się.

— Skończy się to tak jak zwykle podobne romanse! Znajdą dla niej Francuza utytułowanego, albo pocziwego szlachećca... i — co było a nie jest, nie pisze się w registr!

Muzyka znowu zabrzmiała głośnieję, nie już nad nią nie było słyhać. Czeżewska siedząca przy Sylwii, a ciągle zajęta salą, spojrziała w tej chwili przypadkiem na swą pupillę, i zerwała się przerażona. — Sylwia z głową o drzwi opartą,

i o ścianę, leżała blada i zemdlnona, wachlarz wypadł jej z ręki, oczy miała zamknięte — lice było trupie i zimne...

Nikt oprócz Wojskiej nie spostrzegł wypadku. Czeżewska która bez flakonów nie wychodziła nigdy coprędzej, dobyła jeden z nich z kieszeni, i zaczęła cucić nieszczęśliwą Sylwię, która nierychło otwarła oczy, podniosła się przestraszona, chwytając ręce Wojskiej, drżąca, blada jeszcze, jakby nie wiedziała gdzie się znajduje i co się z nią dzieje.

— Gorąco w sali! — Tyś taka zmęczona. — Może wody.

— Wody! wody! — poczęła wołać Czeżewska — i zaraz ktoś usłużny pobiegł po nią.

W pośród zgiełku i przewijających się osób, nikt nie spostrzegł tego nieszczęśliwego omdlenia.

Młodzi ludzie, którzy we drzwiach prowadzili rozmowę, śmiejąc się w głąb cofnęli.

Sylwia oprzytomniawszy, zwróciła oczy na ową Handzię i długo oderwać ich od niej nie mogła. Pani koniuszyna.... owa w istocie była jeszcze bardzo piękną, a młodzież koło niej się roiła. Ona obchodziła się z nią dosyć pogardliwie a buntnie. Śmiano się w kątku koło niej, i piękna Handzia czasem też pokazywała ząbki białe, dając się skusić do śmiechu, choć minkę robiła nadąsaną.

Grabski który w początku ciągle tylko na

Sylwzię patrzył, szukał jój i teraz wzrokiem, gdy usiadła, ale mu ją drzwi zasłaniały, tak że się jej domyślał w kątku tym i całej sceny nie postrzegł.

Woda nieco szambelanównę orzeźwiła. Czeżewska nie domyślając się przyczyny omdlenia, a posądzając gorąco wielkiej sali że spowodowało mdłości, rozmaite czyniła wnioski. Gotową była nawet poświęcić się dla wychowanicy i powrócić z nią do domu, jeżeliby się bardzo czuła osłabioną.

Sylwia odmówiła; ale twarz jój była tak zmienioną, że Wojska ciągle się nowego obawiała omdlenia. Szczęściem pan de Beaumont, wielbiciel odepchnięty szambelanównę, która się go bardzo zimno pozbywała, co Francuza nie zrażało, zbliżył się korzystając z tego, że ją zobaczył samą.

Był to średnich lat, piękny mężczyzna, który lepiejby się może wydawał, gdyby mniej o swęj piękności pamiętał. *Petit maitre* w całym znaczeniu wyrazu, miał w sobie coś niewieściego, co go zapewne kobietom czynić musiało wstrętliwym...

— Piękna pani! — odezwał się głosem wystudyowanym — dziś na jój lieu uwielbienia godném (*adorable*) znać niezwykle znużenie, — czy pani nie słaba?



— W istocie czuję się dziś niebardzo dobrze, — odparła Sylwia, — ale, to przejdzie.

— A! niechże nas pani swém cierpieniem nie przeraża, — dodał francuz. — Za jęj zdrowie každyby dał życie!

Sylwia uśmiechnęła się z rodzajem szyderskiego politowania. Francuz nie odchodził, stał w pozycyi jak do tańca, z ręką założoną za kamiczkę, szukał wejrzenia pięknej panny i — jak francuzi powiadają — czynił się sam pięknym. Byłby nawet nim może, gdyby nie tak bardzo przypominał komedyanta na scenie.

— Szczeńściem dla mnie, dziś pani osamotniona, — mówił dalej, — mogę jęj ofiarować służby moje?

Czeżewska widząc Sylwią zmęczoną i pomięszaną, wtrąciła się do rozmowy.

— Pan Baron mógł byś w istocie pannie Sylwii — nam, uczynić wielką łaskę. Gorąco jęj zaszkodziło, szklanka limonady możeby orzeźwiła.

Zakręcił się francuz i pognał szukać limonady. Sylwia oczyma smutnemi toczyła po sali.

— Najlepięj by podobno było powrócić do domu, czuję się słabą.

— Ale — możeby to przeszło!... — odpowiedziała nieświadoma przyczyny Wojska — trzeba się trochę przezwyciężyć! szkoda wieczora!

Szambelanówna nie już jęj nie odpowiadała, spuściła głowę, zadumała się.

Baron przyniósłszy własnoręcznie limonadę czuł się przez to upoważnionym stanąć na straży i zabawić Sylwią swym dowcipem. Ten zawsze prawie w jednym obracając się kółku był już jej dobrze znanym, bo go się dawniej nasłuchiwała.

Grabski ze swego miejsca nie mogąc widzieć kuzynki, a dla niej tylko tu przyszedłszy, szukał w początku innego stanowiska, ale gdy postrzegł przy Sylwii stojącego francuza na straży z kó-rym o lepsze się nbijać nie myślał, znudzony powlókł się dalej.

W drugieój salce tańczowano także, posługując się tą samą muzyką, którą tu dobrze słychać było. W trzeciój zgromadziła się kupka starych na poufną jakąś rozmowę, a dalej przeze drzwi pół otwarte widać było stolik suknem zielonym okryty i na nim kupkę złota.

Mężczyzna średnich lat, ubrany bardzo wytwornie, we fraku axamitnym, cały obwieszany łańcuchami złotemi, z mnóstwem pierścieni błyszczących na palcach;— pudrem woniejący z daleka, z niezmierną żywością, wykrzyknikami dowcipnemi i hałasem, wśród śmiechów i wrzawy, trzymał bank Faraona.

Do koła stało, siedziało, wciskało się z kartami, zwieszało przez ramiona otaczających stolik mnóstwo młodzieży, wywołując stawki i karty, sprzecząc się i podżartowując z siebie.

Niektórzy stojąc nad stołem i pilnując kart swoich, pili z kielichów, którą w rękach trzymali.

Co chwila slychać było nawoływanie do bankiera, którego nazywano to po imieniu, to tytułem jakimś...

Nielitościwie obchodził się on ze swemi poniterami, gdyż nie tylko ich ogrywał ale z nich sztydził sobie w sposób najdotkliwszy.

Sypał konceptami nie przebranemi na wszystkie strony, a pieniądze zgarniał na kupe, która coraz poważniejsze przybierała rozmiary.

W tém z nienacka ukazał się wchodzący drzwiami drugimi, incognito, książę Józef który, jak się zdawało, nie miał wcale zamiaru odwiedzać sal kasynowych: — wpadł tu tylko aby coś lub kogoś zobaczyć.

Znany był wszystkim sposób grania księcia. Nie bawiła go gra, nie siadał do niej nigdy, czasami tylko przechodząc, zobaczywszy złoto na stole, rzucił pierwszą lepszą kartę, wołając:

— Va Banque!

Potem czy przegrała czy wygrała, więcej już nie stawiał.

Wszedłszy tu, książę powiódł oczyma, jakby kogoś szukał, szepnął coś do stojącego przy sobie mężczyzny, zaczęto szukać pomiędzy tłumem w koło, nie mogąc znaleźć tego kogo potrzebował.

Ciągnący bank dowcipny i wesół pan postrzegłszy księcia, zmieszał się i pobladł.

Wesołość nagle go opuściła—udawał że przybywającego nie widzi i patrzył w inną stronę.

Książę, który nie znalazłszy jednego ze swoich dworaków, już się miał nazad temi samemi drzwiczkami wysliznąć, raz jeszcze rzucił okiem na stół gry, coś go pociągnęło ku niemu, schylił się, zdjął kartę z podłogi, szybko się przysunął do stolika, położył ją na rogu i zawołał swoim zwyczajem.

— Va Banque!

Bankier trzymający karty w rękę, podniósł ku niemu twarz wykrzywioną wymuszonym śmiechem.

— Mości książę!—zawołał—na co się to księciu zdało—biednych ludzi „dewalizować“?

— Trzymasz?—zapytał książę Józef.

Bankier ruszył ramionami.

— Muszę, jeśli książę każesz...

— Va Banque!—powtórzył niecierpliwie stojący przy stole.—Nie mam czasu,—ciągnij!

Milczenie zaległo pokoik przed chwilą tak wrzawliwy, oczy wszystkich zwróciły się na talję kart, którą trzymał w trochę drgających rękach wyelegantowany bankier, z uczuciem jakiejś obawy czy niepewności rozpoczynający ciągnięcie.

Książę ręką kartę swą cisnąc, patrzył na przechodzących, jakby go los jej mało obchodził.

Nagle szmer powstał, kilku wykrzyknęło coś niewyraźnie, książę spojrzał. — Wygrywał.

— Mój drogi,— rzekł do stojącego przy sobie Kameneckiego, uczyni że mi tę łaskę i napakuje sobie kieszenie.

Bien bon jour!

Odwrócił się i wyszedł.

Towarzysz księcia zapakowywał bank śmiejąc się, zsunął dukaty, zsywał je garścią, i nie rzucając słowa, pospieszył za swym wodzem.

Na twarzy bankiera, który z kartami opuszczonemi na kolana siedział chwilę zadumany, widać było gniew hamowany, jakby chętkę pomśzczenia się i złośliwość, która się wyraziła uśmiechem szatańskim.

Westchnął głęboko.

— Cóż robić! *A la guerre comme à la guerre!*  
Pocieszajmy się tem że kto szczęśliwy w kartach w miłości szczęścia nie ma!

To mówiąc dobył kilka rulonów dukatów z kieszeni, trzymany w zapasie i łamiąc je na zielonem suknie rozsypał. Dodać potrzeba dla zrozumienia tego co następuje, iż gracze nie wyjmując bankiera, nalczeli wszyscy do najzajadlejszej opozycji przeciwko Blasze i księciu.

Gdy pułkownik puścił swój dowcip o szczęściu w grze i w miłości, jeden ze stojących nad stolikiem, rozśmiaawszy się, rzekł półgłosem.

— Przysłowie chyba kłamać musi, boć nie może się nazwać nieszczęśliwym kto pozyskał serduszko takie, jak panny szambelanówny!

— Serduszko! ba! ba! — przerwał drugi — czy tylko nie więcej niż serduszko?

Mówiacy zaczęli się bacznie oglądać czy ich kto z przyjaciół księcia nie słucha, lecz nie dostrzegłszy żadnej ze znajomych twarzy dworu, głośniej i śmieliej ciągnęli dalej.

— Pleciesz! — odezwał się jeden — to są zazdrosnych pań bałamutne wymysły...

— Ba! ba! — odparł ten który mówił wprzód — w mieście się nic nie utai. Dziewczynie zawrócił głowę. Nie dosyć że Vauban ją do siebie wabi, aby księciu romans ułatwić, będąc nader wyrozumiałą i litościwą, oprócz tego wiemy gdzie mieszkają czule schadzki we cztery oczy i kto im je ułatwia...

Ostatni wyraz dodał półgłosem.

— O jakiej-że to szambelanównie mówicie? — przerwał im inny. — Jaka to znowu szambelanówna? nie wiem, bom dopiero od trzech dni powrócił, a pół roku mnie tu nie było.

— I nie dotąd nie słyszałeś? — wtrącił pierwszy — a toś chyba nie chciał słuchać. Całe miasto o tém bębni — jest to sekret poliszynela — Ha! ha! śliczna, jak różyczka świeżo z pączka rozkwitła szambelanówna, przybyła tu z poczywym, ślepym tatulem, polonusem z za kordonu. JM panem *Je* Burzymowskim, a imię jej Sylwia!!

Jeszcze ostatniego wyrazu nie dokończył, gdy

ode drzwi poskoczył ku niemu Grabski, rzucił mu rękawiczkę w twarz i krzyknął głosem wielkim.

— Kłamiesz! jesteś oszczercą!

Blady, straszny stał z pięściami zaciśniętymi.

Okolo stołu ruszyło się wszystko, ludzie zbili się w kupę, otaczając dwu przeciwników.

Ten który dostał w twarz rękawiczką, niejaki Odrzyński, młody, płochy człek, belkotał tak zmięszany, że go zrozumieć było niepodobna.

Przyjaciele jego zaczęli na Grabskiego napadać.

— Kto waćpan jesteś? jakie masz prawo mieszać się do tój sprawy?

Hałas się stał wielki, drzwi zamknięto od sali.

— Jestem bliskim krewnym panny szambelanównej Burzymowskiej, — zawołał Grabski, — zowie się Mieczysław Grabski — mam prawo stanąć w obronie pokrzywdzonej potwarzą nikesemną i lekkomyślną kóbiety. Gdybym zaś innego nie miał prawa i powodu nad oburzenie przeciwko niecnemu kłamstwu — to starczy.

Wśród wrzawy i gwaru, jedni zaczęli stawać po stronie Odrzyńskiego, drudzy się za Grabskim ujmowali.

— Panowie, — odezwał się głos podnosząc bankier, który tymczasem z bardzo zimną krwią karty swe przetasowywał umiejętnie i gotował się ciągnąć bank znowu. — Panowie! Wszystko to bardzo jest pięknem, dobrém, rycerskiem, ale tu ani miejsce ni czas do paladynowania!

Umówcie się sobie na jutro do szopki w Łazienkach, na Wolę, do Bielán, a niech my ludzie niewinni, co stojem do walki z losem, nie cierpim za cudzą sprawę...

Bank gotowy! (Pstryknął kartami.) Kto stawia? Czekam!

Niezaczepiany już przez nikogo Grabski, rozmówiwszy się krótko z przeciwnikiem, błady i poruszony wyszedł z pokoju gry.

Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy gwar ogromny wybuchnął nanowo.

— Kto bo widział, — krzyknął jeden, — w publiczném miejscu prawie takie rzeczy?

— Jakie rzeczy? Cóż to! tajemnice są! Całe miasto o nich wie! Wróble na dachach śpiewają.

— Wróblom wolno, bo one rozumu nie mają, — wtrącił drugi.

— Pojedynek, nie! — przebaknął bankier, — ale jutro, choćbyśmy tu wszyscy sobie dali najświętsze słowo honoru, że będziemy milczeli — rozniesie się to po mieście... Będziemy z tego mieli niezliczone nieprzyjemności.

— Waćpan panie ..... — podchwycił jeden z poniterujących, — mówisz sobie, że pojedynek, nie... Widać że nie znasz Grabskiego. Jest to dawny wojskowy, posądzam go mocno, że się w pannie, kuzynce swój, kocha, a chłopak z charakterem i zacięty. Z nim sprawa nie na żart.



Na lada zadraśnięciu i przeproszeniu się nie skończy.

Bankier już cały był zajęty kartami, po za nim i koło niego, chociaż gra się zbliżała, rozprawiano o wypadku bardzo żywo.

Jedni znowu brali stronę Grabskiego, drudzy starali się uniewinnić nieopatrnego papłę Odrzyńskiego, który stał błądy, a chcąc się niby okazać niestrwożonym, postawił dziesięć dukatów na kartę.

Bankier ciągnął, a że miał w swém rzemiośle wprawę wielką, razem pochylony do jednego ze swych przyjaciół, siedzących obok, mówił.

— Wszystko to najfatalniejsze jest dla mnie, najniewinniej wpłątany jestem w tę historię, a i tak w nienajlepszym jestem u księcia odorze. Stanę mu się jeszcze bardziej wstrętnym, stracę prawo pociągnięcia czasem banczku u niego, gdzie baby grają, u których się zawsze wygrywa...

Odrzyński, który przegrał, tłómaczył się ze swój nierozwagi.

— Teraz wy wszyscy na mnie, — odezwał się, — a czyż to ja jeden tylko o tém publicznie gadałem? Wszyscy głośno powtarzali toż samo, tylko mnie za wszystkich przyszło pokutować.

Dobierano już sekundantów na jutro.

Pojedynek zresztą w owych czasach był rzeczą tak pospolitą, a tak najczęściej nie grożącą

niczém oprócz kosztownego śniadania i pijatyki, że wyzwanie nie liczyło się do nadzwyczajnych wypadków.

Pojedynekowano się za lada słowo przy butelce, za spojrzenie, za potrącenie.

Krew kipiała w próżnującej młodzieży, potrzebowała ją sobie upuszczać, choćby pod najblahszemi pozorami.

Na ten raz jednak domyślano się, że z Grabskim walka nie przejdzie płazem i nie może się skończyć na niczém. Znano go zdaleka, liczył się do poważniejszych ludzi, którzy płochy nie poczynali, i nie dawali się zbyć lekko.

Mieczysław ustąpiwszy z pokoju gry, dopiero wypocząwszy nieco, odzyskał przytomność i krew zimną. Potrzebował czas jakiś stać na osobności, ażeby ochłonąć ze wzruszenia i obmyśleć, co mu czynić należało.

Chciał korzystając z kasyna wyszukać sobie dwóch przyjaciół, którzyby się nazajutrz rano umówili o warunki. To właśnie było dlań najtrudniejszém. Miał wiele znajomości między starszymi, mało wśród młodzieży, od której unikał. Szukał w myśli tych, którychby mógł wezwać na pomoc, gdy uczuł się pochwycenym za rękę i uśmiechnięta, pogodna, jasna twarz szambelana Burzymowskiego stanęła nagle przed nim.

— Co ja widzę!.. a to end! Micio! Micio na

kasynie! Ty!.. A to już chyba i kapucyni zaczną na redutach bywać! Jakżeś ty się tu znalazł?

I nie czekając na odpowiedź, zaczął go ścisnąć serdecznie.

— Wiedziałem, że wy tu będziecie, — przyszedłem umyślnie, — odezwał się Grabski, nie mogąc z twarzy zetrzeć wyrazu frasobliwego, który się na niej wypiętnował.

— I nawet na kasyno nie wziąłeś acindziej weselszego oblicza? a młody jesteś! — wołał Burzymowski. — Wstydzę bo się. Poważnym być, dobra rzecz, ale kwasieć się niezdrowo. Co z ciebie będzie na starość? Człowiecze!

Niezgrabnie Micio się spróbował nśmiechnąć.

— Ale to moja natura! — odparł.

— To ją rzucić w kąć taką nedorzeczną i nie-naturalną naturę, — zawołał szambelan. — Patrz na mnie!

Com tu ja przebył! com przeżył! co przecierpiałem! A czy znać na mnie? he? Patrz!

I okręcił się żwawo na pięcie, wzięwszy pod boki.

Grabski patrzył nań z wyrazem politowania.

— Przepraszam kochanego szambelana, — rzekł mu na ucho, — przyznam się, że mam na kasynie mały interesik do załatwienia. Darujesz mi, że mu towarzystwa nie dotrzymuję.

— O! rozumiem! romansik gdzieś jakiś z ładną kupcowną, albo z mieszczańeczką, co to do

szlachty i panieczów lgną! Patrzaj tylko, żebyś mi się nie dal złapać i nie wprowadził ladajakiej krwi do starego szlacheckiego rodu... Boć, jesteście w Paprockim! Hułaj, bratku, to ci pójdzie na zdrowie, ale nie żeń się, chyba z równą!

Pogroził mu na nosie.

Grabski wolał być już posadzonym niesłusznie o płochość, niż zdradzić swą tajemnicę, uśmiechnął się dwuznacznie i oddalił szybko.

Po drodze, jakby szczęśliwém losu zrządzeniem, spotkał dwóch dawnych wojskowych, znomych dobrze, odciągnął ich na stronę, i nie mówiąc o kogo poszło, objaśnił co się stało, w krótkich słowach.

Choć nie z wielką ochotą, oba mu przyrzekli, że za przyjaciół służycę będą.

Nie radzi oni byli narazić się rządowi pruskiemu, który choć do zbytku surowości nie posuwał, w razie śmierci jednego z pojedynkujących się, do odpowiedzialności towarzyszków pozywał. Uciekać więc było potrzeba, a dwaj wojskowi ani środków nie mieli po temu, ani ocboty.

Nie mogli jednakże odmówić prośbie usilnej.

Nie już nie mając do czynienia na kasynie, Grabski przesnął się wśród par tańczących, oczów już nawet nie podnosząc i dążył wprost ku miejscu, gdy we drzwiach spotkał wychodzącą Czeżewską, która pod rękę Sylwię podtrzymywała.

Zbliżył się ku nim niespokojny, nie pojmując co mogło być przyczyną tak wczesnego usunięcia się ich z balu, ale twarz Sylwii, którą ujrzał w téj chwili, wszystko mu wytłómaczyła.

Szła blada, zmieniona, chwiejąc się. Wejrzenie czarnych jéj oczów obłąkane jakieś, podniosło się na Grabskiego.

— Kuzynko! Co ci jest? na Boga!

— Mdłości dostała z gorąca... Chora! — odparła spiesźnie Czeżewska. — W sali było nieznośnie duszno, przejdzie to na świeżem powietrzu.

Sylwia mileżała, ale wejrzenie jéj smutne nie schodziło z Grabskiego.

— To nic, — rzekła wreszcie pokaszlując, — to przejdzie... Słabo mi się zrobiło!

— Nieznośny tłok! towarzystwo najokropniejsze, — prędko mówiła Czeżewska, nachylając się ku Grabskiemu. — Daję słowo, że na moje oczy widziałam córkę kupca z Senatorskiej ulicy, która często w sklepie siaduje. Nazywają ją piękną Leonildą! A jaka wyfiokowana! Co za dziw! Ich to nie nie kosztuje!

Francuz, który nie był przy paniach gdy wychodziły, napędził je w sieniach dopiero, i we dwóch z Grabskim pomogli im wsiąść do powozu, który przed czasem potoczył się na Miódową.

Szambelana w chwili odjazdu nie sposób wy-

szukać było, musiano go więc zostawić na kasynie, za co się nie gniewał, gdyż spotkawszy obywatela z za kordonu, schwycił go, kazał na dwie osoby postawić kapłona i burgunda, i przegawędził z nim o owsie i pszenicy do północy.

## VI.

Historyczna szopka, inaczej stajnia czy wozownia przy Łazienkach, w której się najczęściej pojedynków odbywało, była teatrem tylu dla księcia Józefa nieprzyjemnych, krwawych wypadków, iż, jakśmy już wspominali, uprosił był u gubernatora Koehlera, aby koło niej pruski żołnierz stał na warcie.

Obecność tego reprezentanta władzy przez parę miesięcy, wstrzymywała zapędy młodzieży, która musiała jeździć do Młocin, na Bielany, na Wolę, i biła się sobie nieszkodliwie po różnych kątach. W końcu do wozowni nikt już nie zaglądał, wyszła z mody, zamknięto ją na klódkę, a żołnierza pocichu ściągnięto z nieprzyjemnego stanowiska, na którym się nudził.

Wiedziano już o tém w mieście, a że zimą mało kto i rzadko w Łazienkach gościł, sekundanci Odrzyńskiego wskazali znaną wozownię jako miejsce do rozprawy najstosowniejsze.

Nazajutrz rano warunki pomiędzy przyjaciółmi z obu stron były umówione, Grabski jednak swoim oświadczył, iż na żart bić się nie myśli, inną umowę jak na pistolety, nie przyjmie, do pierwszej krwi lub... co Bog da.

Starano się przynajmniej uczynić spotkanie mniej niebezpiecznym, naznaczając dystans o kroków trzydzieści. Szopa właśnie na tyle starczyła.

Odrzyński, zwany pospolicie Trawką, dlatego że z powodu jakiegoś zakładu raz, długo bardzo zieloną trawę nosił w dziurce od fraka! był sobie dobrym, lekkomyślnym chłopakiem. Jedynak n rodziców, majątny, niekoniecznie rad był ginąć.

Wpadłszy w rozhulaną młodzież, usiłował jej we wszystkiém dotrzymywać placu i hulał ognisćie. Nie szło to u niego może z temperamentu, ale miłość własna podbudzała go do odznaczenia się w jakikolwiek sposób, a że inaczej nie umiał, odznaczał się przy kieliszku, u kart i w innych tego rodzaju młodzieńczych zapasach.

Do pojedynku na seryo, nie miał Trawka tak bardzo wielkiej ochoty, lecz trzeba było męztwo i zimną krew okazać.

Koszycki i Kwiński sławni pojedynkowicze i rębacze służyli mu za sekundantów.



W duszy przeklinał Odrzyński swój długi język i znalezienie się niedorzeczne, lecz ani odwoływać ni przeproszać nie było podobna — trzeba się było bić.

Na domiar biedy słyszał Trawka, iż Grabski strzelał doskonale, on zaś na pistolety, kulami.. nie miał najmniejszej wprawy. Do tego się nawet przyznawał przed Kwińskim, który mu odpowiedział.

— Glupstwo! W pojedynku na pistolety umiejętność nie nie znaczy. Ten co nigdy nie strzelał trafi, a co na gwoździe sadi kulę, chybia. Byle jeden z was drugiego drasnął, bić się więcej nie damy...

Godzina była wyznaczona pod wieczór. Grabski ze swými dwoma przyjaciółmi, ludźmi skromnemi i milczącemi, stawiał się pierwszy.

Przy szopie straży nie było, ale się kolo nićj przechadzał w kożuchem podbitej opończy, z rękami w kieszeniach, w kapuzie na głowie stary niegdyś berejter królewski, dziś na łaskawym chlebie siedzący w Łazienkach i dozorujący budowlę w większój części puste.

Stary, postrzegłszy przybywających, łatwo się domyślił co ich tu sprowadzało, popatrzał na nich i odezwał się do jednego z sekundantów, ręką pokazując ku miastu...

— Wiem ja czém to tu pachnie! Możecie pa-

nowie powracać sobie zdrowi z kąd przybyliście, bo ja tu nikogo nie puszczę.

A wyczekawszy chwilę na odpowiedź, której mu nie dano, palcem pokazał ogromną kłódkę, do wrót szopy przywieszoną. Był to jednak mamewr zwykły dla wyzyskania pojedynekowiczów, którzy się staremu opłacać musieli. Grabski, który już o tém wiedział, wcisnął ex-berejterowi parę czerwonych, a ten, po krótkim namyśle, nieco uchyliwszy kapuzy, poważnym krokiem zawrócił się w inną stronę, mrucząc.

— Ja tam o niczem wiedzieć niechcę, o niczem niewiem. Róbcie jak wam lepij. Nie moja rzecz. Kłódka niezbyt mocno przytwierdzona, którą dawniej już ten sam los spotykał, natychmiast oderwana została, i przybyli wtargnęli do wielkiej wozowni.

Nie było w niej nic, oprócz starego złamanego karyklu i zielonój dryndulki, której trzech kół brakowało. Leżała w najniewygodniejszej pozycji w świecie, oczekując jakiegoś końca.

Szopa była wygodna; ślady dawnych odbytych tu bojów pozostały na podziurawionych jej ścianach. Gdzieś widać było napisy węglem, nazwiska i daty, a wesoly jakiś kawaler imię swe i rodziny zapisawszy, dodał.

— N. N. ręką i krwią własną.

Rana nie musiała być niebezpieczną, bo mu humoru nie odjęła.

Przybyli zaledwie mieli czas rozpatrzyć się trochę, zacząwszy plac rozmierzać krokami, gdy we wrotach postrzegli Trawkę z Kwińskim i Koszyckim.

Odrzyński nadrabiał fantazją, lecz twarz miał blada, a ruchy gorączkowe zdradzały wzruszenie. Zato Kwiński żartował i śmiał się nadto głośno, a Koszycki wesa kręcąc, nadymał się.

Grabski pozdrowiwszy lekkim głowy skinieniem przybyłych, stanął z boku i czekał spokojnie aby miejsce wyznaczono.

Nabijanie, wybór stanowisk, rozmaite drobne szczegóły, o które się umawiać musiano, zabrały trochę czasu, a tuż powoli i zciemniać się już zaczynało.

Kwiński począł wołać:

— Niemamy czasu do stracenia! Na miejsca! Na miejsca!

Sekundanci je wskazywali.

Ponieważ pora chłodną była, nie rozbierał się nikt, stanęli jak byli poubierani naprzeciwko siebie. Odrzyński nauczony widać, ubrał się całkiem czarno, nie biorąc nic ani błyszczącego, ani białego, coby za cel służyć mogło. Grabski o tej ostrożności nie pomyślał.

Strzelać miano na komenderówkę, która powierzona była panu Koszyckiemu.

Raz — dwa — trzy!

Za trzecim padły razem dwa wystrzały, ale obaj przeciwnicy zostali nietknięci.

Kula Grabskiego świsnęła około samego Trawki, który się aż do ziemi przygiął, i uwięzła w ścianie. Mimowolnemu drgnięciu winien był życie.

Strzał był nadzwyczaj celny.

Kuli Odrzyńskiego, która poleciała gdzieś na poddasze do wróblów, odszukać nawet nie było podobna. Kwiński spróbował wnieść, ażeby na tém poprzestać można, i podać sobie ręce, ale Grabski niechciał ani słuchać. Nabijano pistolety po raz drugi, Trawka już znękany pierwszém wrażeniem, stał blady i drżący, Grabski chodził ręce pod frak włożywszy, czekając aż mu pistolet podadzą. Nabijanie trwało dosyć długo, wśród głuchego milczenia, które tylko uderzanie stępli przerywało.

Stanęli na miejscach swych po raz drugi, a Koszycki umyślnie nie dając czasu do celowania, pospiesznie zawołał:

— Raz — dwa — trzy.

Strzelili. Grabski stojący niedaleko zielonj dryndulki, za nogę się pochwycił i pochylił.

Odrzyńskiemu kula przeciwnika oddarła z boku kawał sukni i dała mu silną kontuzję, ale w pierwszej chwili przestraszony obalił się, wołając że jest zabity.

Poskoczyli ku niemu sekundanci i przekonawszy się o prawdziwym stanie boku, na którym

znać tylko było, jakby silne bizunem uderzenie — śmiać się poczęli. Dopomogli mu wstać trochę skonfundowanemu.

Rana Grabskiego była nierównie groźniejszą, gdyż nogę miał przestrzeloną, krew uchodziła silnie i można się było lękać czy arterya nie została przerwana.

O lekarzu zapomnieli jakoś wszyscy, lecz dwaj starzy wojskowi rzucili się natychmiast do bandażowania.

Rzecz była szczęśliwie skończoną, pozostawało podanie sobie rąk, lecz Grabski pod pozorem, iż miał ją zbroczoną, skłonił się tylko z daleka, nie mówiąc.

Koszycki i Kwiński krzatali się około rannego razem z jego sekundantami, mimowoli podziwiając jego męstwo i żelazną wytrwałość, bo mimo wielkiego cierpienia, nie wydał głosu.

Mrok już padał, gdy jeden z wojskowych pobiegł po powóz zostawiony w alejach i sprowadził go pod szopę.

Trawka, który się ciągle za bok porażony trzymał, bo jak powiadał Kwiński, kielbasa mu na nim narosła — pozostał ze swymi, a Grabski do domu odjechał.

Dnia tego i na Miodowej ulicy chodzili wszyscy zakłopotani i strwożeni. Sylwia, która powróciwszy z kasyna czuła się niedobrze, z gorączką

położyła się do łóżka, a w nocy musiano wezwać doktora.

Szambelan, który przyspieszając powracał do domu, o mało nie padł rażony apopleksją, gdy się o słabości córki dowiedział.

Chciał zaraz zwołać wszystkich z całego miasta doktorów.

Pobiegł do łóżka córki, która go się starała uspokoić, i na jednym lekarzu Francuzie się skończyło. — Burzymowski tylko spać się już nie kładł.

Całą noc co chwila się zrywając, przedrzęmał w krzeselku. Nazajutrz, chociaż zaręczano że nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, Sylwia jeszcze z łóżka wstać nie mogła.

Nakazano spoczynek...

Cześwska niezmiernie czynna, kręciła się, rozkazywała i była w swoim żywiole, gdyż mogła się rozporządzać i słuchać jej musiano.

Napisała zaraz zrana do majorowej, donosząc o wypadku, a szambelan chciał posłać po Micia, który mu teraz był potrzebniejszym niż kiedykolwiek; zreflektował się jednak, że Grabski codzień sam przychodził i musiał lada moment nadejść bez posłańca, o którego było trudno.

Tymczasem Grabskiego zrana nie było, nie było go po obiedzie, nie przyszedł i wieczorem, a jeden z wojskowych, z polecenia jego o mroku, zjawił się oznajmując szambelanowi, iż Grabski

bardzo przeprasza, że służyć nie może — bo — jest w pojedynku ranny.

Wypadek ten tak się zdawał doprawdy niepodobnym Burzymowskiemu, że uszom nie wierzył...

Chwycił za rękę kapitana Rozpędzińskiego i krzyknął!

— Grabski! Micio ranny! Ale to nie może być!!

Dopytywany o przyczynę zajścia kapitan, nie powiedzieć nie umiał, bo sam nie wiedział, tylko że się na kassynie posprzeczali. Dostyc było na nogę nastąpić wówczas, aby do pojedynku przyszło.

Szambelanowi lzy się z oczów puściły. W chwili gdy najwięcej na pomoc Micia rachował, gdy ten mu był najpotrzebniejszym, zawistny los mu go odbierał.

Gniewał się i na los i na Micia, że śmiał w taki czas pojedynkować się i zostać rannym, kiedy tu prawie się bez niego obejść nie było podobna.

— Proszę asindzieja — odezwał się do kapitana, ręce załamując — czy nie jestże to istna kara Boża jakaś na mnie!

Tu mi właśnie córka zachorowała, ja z nią głowę tracę, a ten mi w taką porę utrapioną daje się postrzelić i kładnie! Prawdziwe to przysłowie, że jedna bieda nigdy nie dokuczy.

Miałem zaraz wczoraj na kassynie jakieś brzydkie przeczucie, gdy mi powiedział odchodząc szparko, że ma jakiś pilny interes. A ja to znam te ich pilne interesa! Nic innego być nie mogło, tylko jakiś głupi romansik, i musieli się z rywalem o ladaco zadrzeć. — Ależ takiej płochości, takiej lekkomyślności po nim, co mi się wydawał statecznym, nigdy w świecie nie byłbym się spodziewał!

Komu tu już wierzyć! Otóż to terazniejsza młodzież! Za lada, z pozwoleniem małpę, życie stawia.

Kapitan ani tłumaczył, ani uniewinniał, krótko zabawiwszy, pożegnał się i wyszedł.

Szambelan jak zawsze gadatliwy, nic nie miał nadto pilniejszego, by natychmiast wcisnąć się do pokoju córki i bez ogródki poskarżyć się przed nią, że Grabski „za jakąś dziewczynę“ (był tego najpewniejszym) pojedykował się i został ranny.

O owęj dziewczynie, czupiradle, małpie, przeklinając ją, rozповідаł jakby ją widział. Sylwia leżąca jeszcze w gorączce, podniosła się nieco, posłyszawszy to, i zapytała.

— Niebezpiecznie ranny?

— Kto go wie! — odparł szambelan, nogę ma na wylot przestrzeloną — a ja wiem co to noga! Rychlej człek ranę w łeb wytrzyma, niż gdy dostanie po tebinkach!



Smutnie ściągnęły się brwi Sylwii, i opadła na poduszki...

Burzymowski chodził po pokojach, łajał i krzyczał na służbę, narzekał na losy, modlił się, płakał, siadał, wstawał i nierychło zdecydował się nagle, pojechać odwiedzić Grabskiego, aby go porządnie zbesztać.

Objawił to postanowienie Czeżewskićj, zaręczając że niedługo zabawi, posłał Zybka po dryndę i pojechał.

Lekarz i felczer właśnie opatrywali nogę ran-nem, gdy szambelan wszedł niecierpliwy, od progu poczynając perorę, do której się czuł w sumieniu obowiązany.

— A co? a niemówiłem wczoraj? gdyś mi wspomniał o bardzo pilnym interesie? Przysięgnę że poszło o jaką małą, o lada trzpiota, mieszczańkę! Otóż to mi z pana sensat, oto mi stateczny młodzieniec, który wszystkich krytykował!! Masz tobie!!

Grabski blady, podał mu rękę milcząc, uśmiech dziwny błdził po jego ustach.

— A cóż ta rana? — zapytał Burzymowski ciszój lekarza.

— Kuli niema, kość zdaje się małego draśnięta, mięsca tylko poszarpane... Niebezpieczeństwa, dzięki Bogu niema zdaje się, żadnego, no — a przecierpieć i kawęczyć trzeba będzie długo.

A na ucho szepnął szambelanowi.

— Być może, iż trochę nakuliwać będzie! Być może!

— A! toś mi się spisał, — począł Burzymowski siadając przy łóżku. — Właśnie dla mnie w porę! Sylwia wczoraj od tego szelmowskiego gorąca w sali zachorowała i także dziś leży. Ona nie wstaje a tu i ty się położyłeś, pono na długo.. kiedy ja sobie rady dać nie mogę.

A bodaj ciebie z tą twoją, z pozwoleniem, klempą!.. Masz tobie warszawskie rozkosze! — dodał wzdychając, — oto tobie karnawał!

— Ale Sylwia przecie nie jest w żadnem niebezpieczeństwie? Choroba jój nie grozi?

— Nie! Niechże pan Bóg uchowa! — zawołał prędko ojciec, — gorączki ma tylko trochę. Doktor przykazał spoczynek, dał jakąś miksę śmierzdzącą... a póki ona wydobrzeje, ja się zamęczę.

Bo to z tą waszą Czeżewską, choć baba się kręci, wierci, niby coś ciągle robi, służy, ale z niej pociechy nie ma. Zwyczajnie pani stara, co zszyje to rozpara! Bezemnie one tam sobie rady nie dadzą, logiki u nich za grosz nie ma!

Pomimo tego zapewnienia, które zdawało się rychły odwrót zapowiadać, Burzymowski pozostał przy łóżku chorego, narzekając, rozpytuując i ciekawym będąc dowiedzieć się koniecznie, o co właściwie poszło.

Grabski mu stanowczo odpowiedział, że tego wyjawić nie może.

— No, to mi dość, że ty gadać nie chcesz! — rzekł stary. — Gdyby awantura była, do której się przyznać godzi przed bliskim krewnym i przyjacielem, który ci niemal ojcem był, pewniebyś się nie wahał powiedzieć coś jak było. Zatem już ja się reszty domyszę. Podwika! podwika, nie co innego. Gdzie djabeł nie może, tam babę pośle. Jójmościanka koso może spojrzała!

Ranny się nie chciał tłumaczyć.

Nagderawszy dużo, z pełnego serca, Burzymowski pożegnał go i do domu powrócił.

Tu zastał gościa.

Po salonie chodziła mocno zirytowana Wojska i oznajmiła mu, że u Sylwii była — majorowa. Mówiła o tém z jakimś przekąsem, z urazą, dając do zrozumienia, że przecie zasługiwała na to, aby przed nią nie czyniono tajemnic i nie zamykano się. Bolało ją strasznie, iż Habakowska prosiła ją, aby z Sylwią sam na sam mogła pozostać chwilę.

Gdyby nie pewne obawy i względy, zdaje się że byłaby pod wrażeniem wyrządzonej sobie krzywdy, wypowiedała się przed starym, z powziętych teraz przekonań i opinii o pani majorowej. Musiała sobie jednak w czas przypomnieć, że ją sama ściagnęła do domu i zawiązała te stosunki, które teraz taką ją napełniały goryczą.

— Proszę pana szambelana, — odezwała się, ciągle patrząc na drzwi, które prowadziły do pokoju Sylwii, — co mogą mieć za tajemnice, do których ja niegodną jestem abym przypuszczoną była? Miała konferencya trwać pięć minut. Patrzę na zegarek, już tam z sobą są od pół godziny i słyszę jak żwawą prowadzą rozmowę... Chorą osobę zmęczy, gorączka się powiększy i tyle z tego całego pożytku. Jakem pocziwa!

— Ale, jeśli Sylwia sama sobie tego życzyła?! — zapytał szambelan. — Chorój się nie można sprzeciwiać. Może ją to rozerwie gdy się wypapłą.

Wojska ruszyła ramionami, podeszła pode drzwi, przyłożyła do nich ucho i cofnęła się zniecierpliwiona.

Wkrótce potem wybiegła pani majorowa Habakowska z twarzą dosyć ożywioną i wesołą.

Nie spojrzała nawet na przyjaciółkę Czeżewską, która natychmiast pędem wleciała do pokoju chorój, zwracając się z wielkiem nadskakiwaniem i grzecznością nadzwyczajną ku szambelanowi.

Burzymowski majorowój od owój pierwszej wizyty, gdy ją wziął za wielką panią i odprowadzał do karety, nie lubił wcale. Była mu za nadto fertyczną, wściubską, nazywał ją bałamutką, pędziwiatrem i domyslał się w niej burzliwej przeszłości. W Czeżewskiej cenil pryncypia,

a tu w nie nie wierzył. Być może, iż Habąkowska domyślała się co o niej trzymał Burzymowski, bo takie żwawe a dowcipne istoty, niewają trafne przeczucia sentymentów, jakie obudzają. Dlatego zapewne tём mocniėj pragnęła pozyskać sobie szambelana.

— Kochany panie szambelanie dobrodzieju! — odezwała się tak podchodząc do niego, iż wanilia od niėj doleciała biedaka. Burzymowski zaś ani ambry, ani wanilij, ani gwoździków, któremi się perfumowano, znosić nie mógł i otwarcie mawiał, że woli zapach kwaszonej kapusty. Cofnął się więc.

— Kochany panie, — rzekła, — nie trwoż się o swoją ukochaną, a nam drogą jedynaczkę.. Ja się na naszych kobiecych słabościach dobrze znam, jutro będzie zdrowa. To są nerwy, przejdzie rychło.

Burzymowski obie ręce podniósł do góry.

— Oby się słowa acanbdziki sprawdziły! — zawołał wzdychając. — Trzeba wiedzieć, że Sylwka moja od zębów a potём szkarlatyny, którą szczęśliwie przeżyła, nigdy nie chorowała. Nigdy! a nerwów téż nie miała, jako żywo! Zkądże, proszę asindzki, te tu modne nerwy znowu?

— Wczoraj na sali w kasynie było gorąco jak w pickle, — zawołała Habąkowska, — a przestrzegałam tego niezdolnego Ledoux, żeby przepalać nie kazał.

— O, że gorąco było to gorąco! — odezwał się Burzymowski głową potrząsając. — Wszak oto, najspokojniejszy z ludzi, kuzyn nasz, poczciwy Micio Grabski, z gorąca tego leży dziś z nogą przestrzeloną.

Majorowa, której powołaniem było wiedzieć wszystko co się w stolicy działo, mianowicie w sprawach miłosnych i pojedynkowych, posłyszawszy o strzale, przyskoczyła do szambelana.

— Zlituj się pan! Ja nie o tém nie wiem! Kto? Grabski? postrzelony? Któż go postrzelił? z jakiego powodu?

— Proszę acindźki, — odparł gospodarz, — jak tylko mężczyźni się strzelają, to — o co? o kobietę! Jakaś tam dziewczyna...

— Ale jakaż? która? zmiłuj się! Józia? Terenia? — poczęła gwałtownie Habąkowska nalegać. — Pan musisz wiedzieć! Z kimże się bił? mów mi pan, ja zgadnę o kogo!

Burzymowski się w czoło stuknął.

— A! jakże bo się zowie! Na śmierć zapomniałem! — zawołał. — Wiem tylko, że go Trawką przewano.

— No, to już wiem, — wtrąciła Habąkowska. — Trawka? Co to może być?..

Potrząsała głową.

— Mówże pan, — nalegała znowu z wanilią mu się przysuwając, — mów, szambelanie, co tylko wiesz! Jak ranny? Dokąd się strzelać jeź-

dzili, bo szopka zamknięta. Któż sekundował? Kiedy się to stało? Czy Trawka uszedł cało?

Na ten potok zapytań, przyparty do kąta zapachem wanilii szambelan odpowiadał jak mógł, ale zawsze niedostatecznie. Habakowskiej niepodobienstwem teraz oddalić się było nie wyczerpawszy tego źródła plotki do dna, gdy szczęśliwie na nie trafiła.

Nie wątpiła iż o pojedynku w mieście mówić będą wkrótce i że ona, dzięki szambelanowi, jak zwykle, przysłuży się ciekawym, najświeższymi, najobfitszemi szczegółami z pierwszej ręki.

Burzymowski upewnił ją stanowczo, że rzecz poszła o jakąś dziewczynę niewiele wartą, że rana nie była śmiertelną, ale mogła grozić okulaowaniem młodemu chłopcowi. Dodał i to, że Trawka dostał porządnie po boku.

Pilno już teraz było majorowej jechać pod Blachę i zawieźć tam tę nowalnię. A że i inne miała do pośpiechu powody, pożegnała więc jak najczuliej gospodarza, wabającego się czy ją miał przeprowadzać do powozu czy nie — i znikła.

Nim się szambelan namyślił nad tem, czy pre-judikat przy pierwszej wizycie wiąże go tak, iż powinien ją sprowadzić — Habakowskiej karetka już się toczyła po bruku. Zdało mu się, że nie zgrzeszył ani uchybił, mając chorą córkę jako wymówkę.

Gdy po chwili zapukawszy nieśmiało do po-

koju Sylwii, wszedł do niej, znalazł ją w istocie, jak przepowiedziała majorowa, z wielką dla siebie pociechą znacznie zdrowszą i uspokojoną.

Siedziała na łóżku, blada trochę, piękniejsza może niż była uśmiechnięta smutnie, a mixtura doktora nietknięta jeszcze, pomódz nie mogła.

— Co to jest młoda natura! siły młode! — odezwał się szambelan, — choroba się przed niemi cofa zwyciężona i napastować nie śmie.

Czeżewska w duchu przypisywała to nie naturze, ale téj majorowój, którą teraz nienawidziła, bo po wyjściu jej wszedłszy do Sylwii znalazła ją już siedzącą, uśmiechniętą, postrzegłszy tylko że papierek jakiś szybko schowała pod poduszkę.

Miała myśl Wojska, później poprawiając troskliwie posłanie, wyjął z pod poduszki ten bilecik tajemniczy, ale ją nadzieja zawiodła, bo sięgnąwszy ręką bardzo zręcznie, już go tam nie znalazła.

Sylwia widocznie lepiej się miała, lekarz który przybył wieczorem, znalazł zmianę bardzo szczęśliwą, puls uspokojony, nerwy mniej podrażnione, stan nad wszelkie spodziewanie pomyślniejszy, wróżący rychłe uzdrowienie.

Szambelan uradowany sownie mu za to zapłacił.

Później niż domowy ordynaryusz przysłany z pod Blachy doktor Witaczek, przybył się do-



wiedzieć o stan panny szambelanównę, co nadzwyczaj Burzymowskiego rozrzewniło, dowodząc jak żywo się jego dziecięciem interesowano.

Wprawilo go to i coraz widoczniejsze polepszenie zdrowia córki ku wieczorowi w humor wesejszy, tak że nie mając go na czém i na kim spędzić żartował z Micia nielitościwie, z jego pojedynku i rany, puszczając się w dziwaczne domysły o owęj mitycznej dziewczynie, która być powodem walki musiała.

W mieście się długo nigdy nie utrzyma tajemnica. Kłótnia acz bardzo krótka w pokoju gry nie uszła oka i ucha ciekawych. Tłómaczono ją sobie bardzo rozmaicie. Młodzież która była jej świadkiem milczała, gdy bardzo wielu słuchaczów, ale każdy z nich pojedynczo, na ucho sobie wszyscy opowiadali, ze szczegółami jak to było.

W rozmaitych wersjach, z rozlicznemi wariantami krążyło opowiadanie aż do wieczora dnia następnego. Pojedynek usta rozwiązywać zaczął.

Niektóre z pań bywających pod Blachą, nie ważąc się powtarzać jak to było, cedziły półgębkiem, że miało pójść o szambelanównę, o której jeden z młodzieży z lekceważeniem się wyraził, za co krewny jej Grabski się ujął.

Ciekawość była podniecona, wyprawiono na zwiady, piękne panie rozesłały swych fawory-

tów dla zasiągnięcia języka, i wieczorem widziano już, jeżeli nie wszystko, to główne motywa całego dramatu.

Rzadko pomiędzy pięknymi paniami, które się zawsze czują rywalkami, tyle jest miłości i przyjaźni, by z nieszczęścia współzawodniczek nie cieszą się choć troszeczkę.

Sądy na ucho komunikowane były bardzo rozmaite. Nie wszystkie pewnie życzliwe dla pięknej Sylwii, której chorobę przypisywano naturalnie świadomości tego co zaszło.

W opinii ogólnej Grabski, dotąd mało znany, zyskał najwięcej.

Z opowiadania samych sekundantów Trawki wnosić było można, iż nie znalazł się ani rycersko, ni zbyt nawet mężnie.

Potwarz rzucić na kobietę, a choćby plotkę o niej powtórzyć, już w oczach niewiast czyni człowieka pogardy godnym, a gdy się do tego przyłączy brak odwagi, zgubionym jest na sławie.

Dwaj sekundanci śmiejąc się opowiadali zabawnie, jak Trawka krzyknął, że jest zabity, nie będąc nawet rannym, i jak Grabski nie jęknął nawet, choć kula mu na wylot nogę przeszyła.

Piękne panie, które zdala tylko widywały mężnego obrońcę honoru niewieściego, czuły dlań sympatyę wielką.

Kilka osób zupełnie nieznanych posłało się dowiadywać o jego zdrowie. Trawka, który chciał

wyjsć na bohatera, spotykał wszędzie uśmiechy szyderskie i drwiny.

Tegoż wieczora pod Blachą u pani Vauban, *en petit comité*, opowiadano sobie historję całą chociaż z pewnemi przemilezeniami (*retiscences*).

Gdy książę wszedł do salonu w towarzystwie kilku mundurowych przyjaciół Kameneckiego, Rautenstrancha, Pokutyńskiego, oczy pięknych pań siedzących u stolika z ciekawością się zwróciły ku niemu, jakby chciały wybadać wrażenie, które wypadek znany mu (jak się wszystkim zdawało) mógł na nim uczynić!

Książę dnia tego był trochę blady, może nie-spokojny, ale swą zwykłą obojętność i chłód umiał zachować dla oczów ludzkich. Czuć było tylko na nim rozdrażnienie nerwowe, które tego dnia czyniło go tak drażliwym na najmniejszy stuk i głośniejszy wykrzyknik, jak zwykle pani Vauban bywała. Uśmiechał się jednak, mówił o rzeczach obojętnych, prawił chłodne komplementa pięknym paniom i nie zmienił w niczem wieczornego swojego obyczaju.

Późno już, gdy nadszedł doktor Witaczek, który był posyłany do Burzymowskich, książę zobaczywszy go, nieznacznie kołując zbliżył się ku niemu.

— Byłeś u szambelana, doktorze?

— Właśnie ztamtąd powracam, — odpowiedział Witaczek.

— Jakże się ma chora?

— Lepiej, nie ma nic niebezpiecznego, proste rozdrażnienie nerwowe, ale u kobiet ono i ostrzejsze czasem formy przybiera, a może się nawet stać groźném. Jest lepiej, mości książę.

Nie chcąc aby mowa z doktorem zwróciła uwagę, książę się natychmiast od niego oddalił, przechodząc do Pokutyńskiego, który uczył się roli Nathana do projektowanej sceny z Athalii, mając w niej na jakimś wieczorze występować.

— Szanowny Nathanie, — odezwał się do niego, — nie masz ochoty się przejść ze mną? Słówko tylko.

— Służę W. ks. Mości, rzekł Pokutyński.

— Dawno widziałeś się z kolegą swoim p. Burzymowskim? — Zagadnął po chwili.

— Spotykamy się z nim ciągle; lecz, jeśli mam prawdę powiedzieć, poeziwy *Je* na dłuższy czas trochę jest nudny. Używam go pomiernie.

— Dzisiaj się z nim nie widziałeś? — dodał książę,

— Nie, — odparł szambelan.

— Radbym wiedział, — rzekł książę z pewnym wahaniem, — co tam się z nim dzieje. Rozmai tego rodzaju niedorzecznościwa plotą po mieście.

Godzina jest zapóźna do wizyty, — dodał spoglądając na zegarek, — ale gdybyś był łaskaw zobaczyć się z nim i wyrozumieć, czy do starego nie doszło co — głupiego... byłbym ci wdzięczen.

— Jutro? — zapytał Pokutyński.

Godzina była dosyć późna, książę głową potrząsnął.

— A zatem, jutro, mój Pokutyńsiu, — dodał oddalając się.

W chwili gdy się to działo, Vauban zdawała mu znak, że z nim chce mówić. Książę z pośpiechem grzecznym podszedł ku niej. Francuzka miała na ustach uśmiech szyderski.

— W gabinecie u mnie siedzi Jutka, której się zdaje, że możebyś ją chciał spytać o co.

Na wspomnienie majorowej, książę się zmarszczył.

— Ma passyę mieszać się do wszystkiego, — rzekł kwaśno. — *Merci.* — Zawrócił się i pośpieszył do gabinetu.

Habąkowska w salonie wieczorem, *en petit comité*, rzadko się pokazywała. Nie będąc wyłączoną z towarzystwa, równie jak panny Julia Fabre, Szauman i Nagle, majorowa czuła, że nie przez wszystkich była tu widzianą mile. Z taktem sobie właściwym występowała tylko, gdy szło o utrzymanie się przy prawie, o pokazanie się.

Tego wieczora pod pozorem że jej było bardzo pilno, czekała na księcia w gabinecie pani Vauban, w którym było gorąco jak w łaźni, wachlując się przed zwierciadłem i poprawiając fryzurkę.

Książę wszedł z wyrazem twarzy posępny; spojrzał na nią. Uśmiechała się zalecając i widocznie rada z siebie.

— *Cher prince*, — poczęła słodziuchno i ponętnie przysuwając się do księcia. — Zdawało mi się, że sobie zasłużę na łaskę księcia, gdy mu pewną wiadomość przyniosę.

Książę stał nierozczemurzony i rzekł zimno.

— Cóż to takiego?

— Pewnie się książę domyślasz?

— Nie a nie, — rzekł zapytany.

Urażona trochę majorowa, zagryzła usta.

— Od niejakiego czasu, — odezwała się, — nie mam zafania u W. ks. Mości.

— Przepraszam, — przerwał gospodarz, — są sprawy, w których bardzo chętnie powierzam się łaskawej opiece pani, ale są inne, których wolalbym żebyś nie tykała...

Habakowska zarumienila się urażona.

— Bardzo żałuję, — rzekła, — ale co się stało, jest rzeczą nieodwołaną. Byłam pewna, że się książę zafrasujesz o szambelanównę.

— O! gdybyś się nią opiekować przestała! — wybuchnął książę.

Pomimo bielidla i różn majorowa zarumienila się mocno.

— Nie rozumiem! — przebaknęła.

— A powinnabyś, szanowna piękna Jutko, — żywo dodał książę z mieszaniną złego humoru

i żartobliwości, — powinnabyś to zrozumieć łatwo. Sylwia nie jest dla mnie pospolitą istotą, jakich tysiące w życiu pomija się, choć na chwilę zwróciły oczy i serce do nich zabiło. Jest to niewinne dziewczę, które ja kocham, ale które szanuję i o które się lękam...

— A więc mnie do tego bóztwa się zbliżyć nie wolno, abym go moim zatrętym oddechem nie pokalala! — zawołała szydersko majorowa.

Książę nic nie odpowiadając, głowę podniósł, ręce rozstawił, milczenie było wymowne.

— Nie mogę przecież uciekać i zamykać się przed nią, gdy ona lgnie do mnie i chce mnie mieć za pośredniczkę między ideałem swym... a sobą.

Książę się wstrząsnął.

— Majorowa powinnaś — powinnaś jęj to mówić, co — co ja możebym jęj powiedział, gdybym mógł.

Habąkowska przerwała.

— Czemu książę nie powiesz lepij: „to co ja jęj sto razy mówiłem“?

Książę zamilkł i przeszedł się po gabinecie.

— Niechże W. ks. Moś raczy dokończyć! — odezwala się majorowa.

Pepi się odwrócił ku nięj.

— Kocham ją, — rzekł zapominając się, — gdybym mógł, wiesz, ożeniłbym się.

Majorowa parsknęła głośnym śmiechem, książę się zmarszczył.

— Dajmy już temu pokój! nie zrozumiemy się, — dodał. — Lecz cóż mi chciałaś powiedzieć?

— Dowiedziałam się o przyczynie jej choroby, — mówiła żywo majorowa, jakby urazy zapomniała. — O pojedynku ona nie wie. Podśluchiwała na kasynie rozmowę dwóch ichmościów, którzy sobie Handzię koniuszynę pokazywali, nie wiedzieć co pletli i mówiąc o niej coś o szambelanównie wspomnieli.

— To nikezemnie! — krzyknął książę, — to podle! Kto byli ci panowie?

— Ona ich nie widziała i nie zna...

— *A! c'est jouer du malheur!* — zawołał książę chmurno, — na jeden wieczór dwa takie wypadki Ta biedna Sylwia!

— Już przychodzi do siebie, bo, — dodała poufnie i cicho Habakowska, — przejęłam na drodze pewien liścik i samam go jej oddałam... ten poskutkował lepiej niż lekarstwo.

Książę drgnął z niecierpliwości.

— Prosiłbym, — rzekł sucho, — abyś tego pośrednictwa zaniechała.

— Będę na przyszłość posłuszną, — udając wesołą ciągnęła dalej majorowa, — nawet gdybym na drodze znalazła! Tymczasem co się stało, zmienić nie mogę. *A! la pauvre enfant!* Ona tak kocha, całą duszą, sercem całym, że byle o mi-



łości swojego bohatera nie wątpiła, byle jój i serca była pewną, gotową jest znieść wszystko.

Zamyślił się książę, piękna Jutka przypatrywała mu się.

— Ponieważ jak widzę, — odezwał się, — jesteś już wtajemniczoną, proszę cię, użyj wpływu jaki mieć możesz na to, abyś — uspokoiła ją. Mojego serca, — rzekł z powagą, jaką rzadko przybierał, — mojego serca może być pewną... ale ja — nie należę do siebie. Myśleć o jakimkolwiek trwałym związku nie mogę, mam przed sobą inny cel... a Sylwię, powiadam ci, szanuję i nie chcę, aby swoje dziecięce marzenia opłacała łzami...

Habąkowska ramionami ruszyła.

— Pierwszy raz widzę księcia tak — bardzo sumiennym.

— Bo po raz pierwszy trafiłem na serce czyste, na miłość prawdziwą i może — kocham raz pierwszy.

Dusząc się od śmiechu majorowa odstąpiła kroków parę i dygnęła. Książę ruszył ramionami i począł chodzić niespokojny.

— Bardzo mi żal księcia, — poczęła popatrzywszy nań majorowa. — To doprawdy smutny i nudny romans, na któryby trzeba poszukać lekarstwa... Wybierz sobie książę coś innego, z innéj sfery, gdzieby było mniej szacunku a więcej namiętności...

— Wybierz! — powtórzył książę. — Dobra jestes! alboż to się wybiera?

— A! to prawda! — żywo podchwyciła Habakowska, — ale bo książę byleś nieostrożny — niech mi to będzie powiedzieć wolno. *Règle generale*, bardzo wielkie panie, z miłości i miłostek robią sobie zabawkę, z temi, *on a beau jeu*, nie prowadzi to za sobą żadnych konsekwencji, pocieszają się łatwo.

Ładne dziewczątka ubogie klas niższych — wyposaża się. Rzecz skończona... Tylko z temi szlacheciankami jak szambelanówna, zaraz to grozi, *cela devient sérieux!* Taka Sylwia kocha się szczerze, na życie i śmierć, i robi się z tego smutna tragedia!

— To prawda, — odparł książę, — ale tamto są zabawki — a to — to jest miłość!

— Miłość!! — szydersko a patetycznie powtórzyła majorowa. — Mi — łość!!!

Nie uważając na to szyderstwo książę zwrócił się z zapytaniem.

— Widziałas ojca?

— A! jakże! Ten poczciwy, dobry szambelan, — poczęła Habakowska, — mówiąc po polsku, jest jak tabaka w rogu. O niego nie masz się co książę troszczyć.

Pepi ramionami ruszył, Habakowska chciała mu się z czémś narzucić koniecznie.

— Wie książę co, — szepnęła, — nie ma tu innego wyjścia, potrzeba abyś ją wydal za mąż.

— Bardzobym rad, — odrzekł książę żywo, — tylko nie w tym celu jak myślisz... *En tout bien, tout honneur*, radbym znaleźć uczciwego człowieka.

Ale ona!.. ona za nikogo wyjść nie zechce!

Majorowa uśmiechała się złośliwie. Zamilkli. Książę gryzł papier w ustach i rzucał niecierpliwie poszarpane jego kawalki. Myśłami zdawał się błądzić gdzieindziej. Majorowa czekała.

— A więc o pojedynku nie nie wie? — zapytał Pepi.

— O nim wie, ale przyczyny jego się nie domyśla ani ojciec ani ona. Szambelan wymyślił sobie i najmocniej jest o tém przekonany, że Grabski się bił za jakąś dziewczynę.

— To doskonale! — zawołał książę. — Stary jest nieoszacowany! Grabski, znam go, *est un trop galant homme*, żeby się jej miał przyznać do prawdy... Byle która z łaskawych przyjaciółek się nie wypaplała.

Jutka złożyła ręce na piersiach.

— M. książę! — odparła, — ja tylko za siebie rękę!

Pepi zwrócił się ku drzwiom i wziął za klamkę.

— Tysiąc podziękowań, rzekł, — i dobra noc. Majorowa podbiegła ku niemu.

— O mężn, o mężu niech książę myśli, to najpilniejsze... Ja...

Chciała coś mówić jeszcze, ale nim dokończyła, księcia już nie było. Oddalił się szybko.

— Tacy oni są wszyscy! — westchnęła. — Rozpoczną romans nie myśląc o następstwach, a potem gdy biedne stworzenie oszaleje z miłości dla nich, cofają się mówiąc o sumieniu!

I pięść złożoną wyciągnawszy ku drzwiom, którei książę wyszedł, dodała pocichu:

— Minotaury!..

Koniec Tomu 2go.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 792



JIK0792